

### **Lot z przeszkodami**

Horyzont raptownie znikł przed oczu i w samolocie zapanowała nagła ciemność, rozświetlana jedynie zygzakowatymi ogniami przelatującymi obok maszyny. Znaleźli się w zasięgu burzy.

Samolot przechylał się niebezpiecznie raz w jedną, raz w drugą stronę, chwilami spadał w przepaść, aby za kilka sekund unieść się znowu w górę.

Pasażerowie poczuli się nieswojo. Zwłaszcza kobiety. Mira gwałtownie zbladła. Zgrabna stewardessa mówiła coś do podróżnych, ale docierał do nich jedynie uspokajający ton jej głosu. Zapaliła więc tylko światła i weszła do pomieszczenia załogi.

Po chwili zjawił się wśród pasażerów 'młody człowiek w granatowym lotniczym mundurze i uśmiechnął się szeroko, dając do zrozumienia, że taka pogoda to właściwie drobiazg i nie ma się czym przejmować.

— Proszę państwa — powiedział. — W tej chwili mijamy front burzy i dosłownie za kilka minut wyjrzy słońeczko. Lot będzie spokojniejszy niż jazda taksówką. Nie ma powodu do obaw. — Uśmiechnął się raz jeszcze i wrócił do kabiny pilotów.

Stewardessa zaproponowała jakieś środki uspokajające, a w chwilę potem zgasiła światło.

Mira, szczególnie wrażliwa na niespokojny lot, nie mogła przyjść do siebie. Niewiele dały dwie tabletki aviomariny, które profilaktycznie zażyła przed podróżą.

Resztkami sił walczyła z uczuciem mdłości.

W niedalekim sąsiedztwie ulokował się przystojny młodzieniec, brunet o pociągłej twarzy, który już od początku podróży bacznie przyglądał się współpasażerce. Widać piękna sąsiadka wpadła mu w oko. Spostrzegłszy, że z trudem walczy ze swym buntującym się organizmem, poprosił stewardessę o uspokajający środek i wręczył go nieznanym.

— Proszę to wypić, ale szybko! — powiedział stanowczo.

Mira bez słowa chwyciła kieliszek i wypila jego zawartość. Przez chwilę pozostawała bez ruchu. Później z wdzięcznością spojrzała na swego wybawcę.

— Pomogło mi. Serdecznie dziękuję za pomoc.

— Proszę teraz ułożyć głowę wyżej i głęboko oddychać. Wkrótce wszystko będzie dobrze — rzekł tonem dobrotliwej, troskliwej niańki, ustawiając wywietrznik tak, by strumień powietrza padał wprost na twarz dziewczyny.

### **W Berlinie**

— Jak się pani czuje, dobrze już? Wkrótce wylądujemy w Berlinie.

— Dziękuję! Już mi przeszło. Sprawiałam panu sporo kłopotu.

— Nie ma się czym przejmować ani

krępować. Zdarza się to zarówno pilotom, jak i marynarzom.

Na płytę berlińskiego lotniska wyszli razem.

— Pan też do Berlina? — pierwsza odezwała się Mira.

— Tak. Będę tu kilka dni — odrzekł młody człowiek. — Może się jeszcze spotkamy?

— Chyba tak! Nie jestem jednak pewna, gdzie się zatrzymam.

— Wobec tego będę liczył na szczęśliwy traf — uśmiechnął się.

Z daleka dostrzegła znajomą. Przystanęła i przekładając neseser do lewej ręki, prawą wyciągnęła do pożegnania.

— Jeszcze raz serdecznie dziękuję za opiekę i ratunek w przykrych dla mnie chwilach. Mira jestem... — przedstawiła się.

— Stefan Jaworski — wyraźnie wypowiedział swoje nazwisko młody człowiek. Nie starczyło mu jednak odwagi, aby zapytać: „Mira to imię czy nazwisko?”

W poczekalni dworcowej Mira wpadła w objęcia elegancko ubranej blondynki. Za chwilę obie dziewczyny ulokowały się w zielonym wartburgu. Prowadziła blondynka.

### **Kurt uśmiecha się**

Kiedy Jaworski stracił z oczu wartburga, spostrzegł Kurta. On właśnie miał go spotkać na lotnisku.

— Niebrzydkie... co? — mrugnął filuternie Kurt. — W pogoni za spódniczkami nie zauważasz nawet przyjaciół. Stoję, stoję, a ty nic.

Przywitali się serdecznie.

— Żebyś wiedział, że wpadła mi w oko ta brunetka. Nazywa się Mira, ale nie wiem, czy to nazwisko, czy imię. Przed

stawiała się w ten sposób... Miałem okazję poznać ją w samolocie — tłumaczył Stefan.

— Ty zawsze masz i okazję, i szczęście — przerwał Kurt. — Już my cię z tego w Berlinie dobrze znamy, a słyszałem, że i w Warszawie masz wyrobioną markę.

— Nie przesadzaj... — słabo bronił się Stefan.

— A wiesz — ciągnął Kurt — tę twoją brunetkę widziałem już w Berlinie. Mam pewne oko. A i blondynka bywa często na lotnisku.

Stefan opowiedział o przygodzie w samolocie. Mira podobała mu się, jednak nie zostawiła swego adresu.

— Nic się nie martw — odrzekł wyraźnie z warszawska Kurt. — Któregoś dnia, jak złapiemy trochę czasu, wybierzemy się do „Pałace”. Tam można spotkać wszystkie ładne kobiety Berlina. To najmodniejszy teraz lokal.

Zatrzymali się przed hotelem „Metropol”. Stefan miał tu zamówiony pokój.

Po obiedzie, kiedy już nagadali się do syta, Kurt powiedział:

— Słuchaj, Stefku. Dziś nie mamy nic do roboty. Prześpij się z godzinkę. Na wieczór dostałem bilety do teatru.

### **Frau Malinke**

Zielony wartburg zatrzymał się przed dużym domem przy spokojnej uliczce Krone 11. Obie pasażerki zadzwoniły do mieszkania oznaczonego numerem pięć.

Otworzyła im niemłoda, choć dobrze jeszcze trzymająca się niewiasta. Baczenie zmierzyła obie kobiety od stóp do głów i twarz jej rozplynęła się w uśmiechu.

— Proszę, proszę do środka — krygowała się. — Wszystko przygotowane na pani przyjazd, łazienka już czeka i smaczny obiad.

— To jest pani Mira — berlinianka uznała za stosowne przedstawić gościa z Polski. — Opowiadałam pani o niej. A to jest Frau Malinkę.

— Jaką miała pani podróż? — zapytała Frau Malinkę. — Pewnie na lotnisko odprowadził panią tłum wielbicieli, taka pani elegancka i piękna...

— Nie, nikt mnie nie odprowadzał — odpowiedziała Mira. — Spotkałam na lotnisku tylko pana Zadrasa, który tam znalazł się przypadkiem.

— Ach, jaka piękna walizeczka! Nigdy takiej nie widziałam — zachwycała się właścicielka mieszkania.

— Mogę ją pani podarować — wspaniałomyślnie rzekła Mira. — Mam w niej swoje rzeczy, jeszcze dziś kupię sobie nową.

— Po cóż ma się pani trudzić, Fraulein Mira, chętnie sama to załatwię. Znam dobrze Berlin i wiem, gdzie można dostać najlepsze. Na pewno się pani spodoba. Nie mogę przecież przyjąć tak drogiego prezentu, a w ten sposób będzie to zwykła zamiana.

Po obiedzie Mira i Elza wybrały się na zwiedzanie miasta. Pogoda dopisywała, więc przed wyjściem Mira weszła jeszcze do swego pokoiku i rzuciła na walizczkę ortalionowy płaszcz.

Frau Malinkę, wychyloną z okna pomachała dziewczętom na pożegnanie ręką, a skoro tylko zniknęły w głębi ulicy, bez żadnego skrępowania zaczęła manipulować przy walizeczce gościa.

### **Wizyta w policji**

Rano Stefan Jaworski zameldował się w sekretariacie pułkownika Mirona. Przyjęty został natychmiast.

Pułkownik Miron z Policji Ludowej

NRD przywitał go serdecznie. Za chwilę zameldowali się dwaj oficerowie — Kurt i Heinz. Referował Kurt. Od czasu do czasu na rynku ukazuje się znaczna ilość banknotów dolarowych, za które skupuje się złote monety dolarowe. Są one prawdopodobnie przerzucane do Polski w jakiś nielegalny sposób. Nici tej działalności sięgają aż do Brukseli, gdzie znajduje się mennica, wytwarzająca ze złota różne monety, od austriackich czworaków po „świnki” — złote rubłówki. Działa więc dobrze zorganizowana grupa. Są już informacje o niektórych osobach, natomiast brak rozeznania całego technicznego systemu działania grupy. Istnieje jednak przekonanie, że wspólnie MO i Policji Ludowej uda się wpaść na trop tej grupy i zlikwidować ją. Kurt opowiedział przy tym, co jest im wiadome o poszczególnych osobach. Nie dotyczyło to jednak nikogo z Polski.

— Jesteśmy do waszej dyspozycji, poruczniku Jaworski — podsumował pułkownik Miron. — To rzeczywiście niebezpieczna i dobrze zorganizowana grupa. Jak widzicie, nie zasypialiśmy gruszek w popiele, zebraliśmy wiele materiału.

### **Ostatni wieczór**

Minął pracowity tydzień porucznika Jaworskiego w Berlinie. Szczegółowo zapoznał się on z zebranymi materiałami. Opracowano też plan współdziałania Policji Ludowej i Milicji Obywatelskiej. Czas było wracać.

Przed południem Stefan złożył wizytę pożegnalną pułkownikowi Mironowi, z Kurtem zaś umówił się, że ostatni wieczór w Berlinie spędzą wspólnie w „Palace”. Pomysł ten wyszedł oczywiście od Stefana, który miał nadzieję spotkać tam Mirę.

Już raz, na samym początku pobytu,

przypadkowo zetknęli się z dziewczętami w tym właśnie lokalu, uchodzącym wówczas za najpiękniejszy i najwytworniejszy w stolicy NRD Kurt i Stefan tańczyli wtedy z dziewczętami do północy.

Kiedy zajęli stolik i zamówili napoje oraz zakąski, spostrzegli w głębi sali obie dziewczyny. Były same. Zdecydowali, że trzeba je zaprosić. Za chwilę Mira i Elza siedziały już z nimi.

— Gdzie się pan podziewał przez te dni? — zwróciła się Mira do Stefana.

— Zwiedzałem okolice miasta — odpowiedział z uśmiechem. — Mój pobyt w Berlinie już się kończy, panno Miro...

— Szkoda, że musi pan już wyjeżdżać — szepnęła w chwilę później, kiedy tańczyli na parkiecie.

— Możemy przecież spotkać się w Warszawie — odrzekł Stefan.

— Tak, ale to już nie to, co w Berlinie. Wie pan, planowałyśmy z Elzą porwać pana nad morze, dokąd miałyśmy jechać za kilka dni. A tak to już nic z tego!

— Odbijemy sobie w Warszawie, panno Miro. Wycieczkę jakąś urządzimy... — zaproponował Jaworski. — Chyba że ktoś tam będzie...

— Nikt — szybko wtrąciła Mira. — Ale może to właśnie na pana ktoś czeka... bo ja jestem sama.

— Ja również.

Przy stoliku Mira wręczyła Stefanowi wyrwaną z notesu kartkę z adresem i numerem telefonu w Warszawie.

— Zadzwoń do pani — powiedział z przekonaniem i starannie schował adres do portfela.

— Liczę na to, panie Stefanie, chociaż wy, mężczyźni...

Bawili się w „Pałace” doskonale: nawet nie zauważyli, kiedy minęła północ. Czas było wracać.

Odprowadził Mirę do domu. Nie chciała brać taksówki. Przed domem stali dłuższą chwilę, trudno im jakoś było się rozstać.

### **Jutro jadę**

— Co? Już wróciłeś? — krzyknął kapitan Mirski, kiedy porucznik Jaworski służbiście zameldował swój przyjazd. — Przywiozłeś coś nowego?

— Przede wszystkim masz pozdrowienia od pułkownika Mirona. Z utęsknieniem czekają tam na ciebie. Pułkownik prosił, żebyś tym razem nie nawalił.

— Coś im powiedział?

— Zapowiedziałem w twoim imieniu, że chyba uda ci się wyjechać do Berlina na kilka dni.

— Wariat — oburzył się Mirski. — Zawsze się ciebie żarty trzymają. Wiem, że muszę tam jechać i wiem, że czekają. Ale też wiem, że ta piekielna sprawa nie pozwoli mi na to wcześniej niż za pół roku. Będę musiał dzwonić i prostować.

— Myślę jednak, że wybierzesz się tam wcześniej. Zresztą przywiozłem dla ciebie sporo informacji. Po bieżące chyba sam pojedziesz, i to chętnie.

Rozmowa przeciągała się. Pochyleni nad biurkiem porównywali różne materiały, konfrontowali opinie i wnioski. Ułożyli prowizoryczny plan działania.

— A jak z tego wyjdą nici? — z troską w głosie rzekł kapitan Mirski, spoglądając na Stefana.

— Chyba nie będzie tak źle — pocieszał go porucznik.

— Czy twoim zdaniem jest jakieś inne wyjście?

— Wyjścia są zawsze dwa — filozoficznie odparł Stefan. — Ale które z nich wybrać? Nic mi do głowy nie przychodzi. Może jakieś nowe wydarzenia... Przecież trochę informacji już mamy.

— Właśnie. Jutro jadę do Łodzi — przerwał wywody porucznika kapitan Mirski. — Wydaje mi się, że mam tam

coś, co może wiązać się z tymi sprawami. A jeśli trafi ci się coś nowego, natychmiast daj znać.

Wierzę w twój nos.

### **Złoto**

Rano niebieska warszawa pędziła do Łodzi. Kierowca, sierżant Lipski, z niejednego pieca chleb jadał i niejedno widział w swoim bogatym życiu. Oddawał również usługi kolegom nie tylko jako kierowca. Teraz najczęściej jeździł z kapitanem Mirskim. Obaj lubili szybką jazdę.

— Dobrą mamy pogodę od rana — zaczął Lipski, spoglądając z ukosa na kapitana. — Utrzyma się chyba do wieczora? Może podgonić trochę, panie kapitanie?

— Nie chwał pogody z rana, a kobiety za młodu — mruknął sentencjonalnie Mirski. — Możesz podgonić, ale patrz, czy to stare pudło nie rozleci się w drobny mak. Przecież już dawno przekroczyłeś dozwoloną szybkość.

— Nie rozleci się, pocisnę jeszcze trochę.

W Łodzi znaleźli się kilkanaście minut przed ósmą. Kapitan Mirski musiał czekać na naczelnika dochodzeniowego — Wesołego. Czekać nie lubił i teraz miał nawet pewien żal do Lipskiego, że przyjechali za wcześnie.

Z Wesołym znali się od dawna i przyjaźnili. Przywitali się więc serdecznie.

— Co cię sprowadza, stary? — zapytał naczelnik.

— Mam romans do pewnego twego klienta. Siedzi u ciebie, ale w innej sprawie. Chciałbym pociągnąć go trochę za język, może coś i dla mnie z tego kapnie.

— A o kogo chodzi?

— O Kowalskiego.

— Też znalazł przestępcę! I aż z Warszawy specjalnie do niego? — zdziwił się

Wesoły. — To stary piernik, a sprawa, z powodu której zatrzymałem go, wydaje mi się jak najbardziej lokalną. Interesujesz się wełną?

— Skąd, tym razem chodzi o złoto wysokiej próby.

— Złoto? No, to tym bardziej co ma mój stary piernik do twego wiatraka? Przesłuchiwano go już parę razy. Zgodnie z moim rozeznaniem dostanie parę miesięcy i wyjdzie.

— Wiesz co, Marian? Jeśli możesz, daj tego Kowalskiego. Spiesz mi się — przerwał kapitan Mirski.

— Aleś ty w gorącej wodzie kąpany. No, daję go już, daję. Nawet tyle nie ma czasu, żeby pogadać ze starym przyjacielem — z nutką zawodu rzekł naczelnik Wesoły i wyszedł do sekretariatu.

— Poleciałem, żeby dali ci również akta Kowalskiego. Już sekretarka powie ci, gdzie go przyjmiesz — oznajmił po powrocie.

— Dziękuję, już idę.

— Słuchaj, Kazik — zatrzymał go jeszcze Wesoły. — Wpadnij dziś wieczorem do mnie do domu. Dawno przecież nie byłeś i nie masz pojęcia, co mi się przydarzyło. Mamy małą córeczkę. Żona się ucieszy, jak będzie mogła się nią pochwalić. Dziś jej urodziny. Zorganizujemy taką małą uroczystość rodzinną. Przyjdiesz?

— Postaram się, choć mam teraz taką piekielną sprawę, że nie gniewaj się, jeśli mi nie wyjdzie. Odbilibyśmy to sobie następnym razem. Ale, ale... Ty też nie znasz mojego najmłodszego, do Warszawy również wpadasz jak po ogień...

### **Bomba w górę**

— Jestem oficerem Komendy Głównej MO — powiedział kapitan, bacznie przyglądając się siedzącemu naprzeciw

mężczyźnie. — Moje nazwisko Mirski. Przyjechałem specjalnie, aby z panem porozmawiać. — Zapraszający gest w stronę leżącej na biurku papierośnicy.

— Boże, skąd nagle takie zainteresowanie Warszawy moją skromną osobą — Kowalski był wyraźnie zaskoczony zarówno formą powitania, jak też usłyszaną wiadomością, ale z nie ukrywanym zadowoleniem wziął sporta i zapalił.

— Ciekawi mnie pańska osoba z wielu względów — ciągnął Mirski, nie spuszczać wzroku z twarzy przesłuchiwanego. — A wie pan, co interesuje mnie najbardziej? „Twarde”.

Palce trzymające tłącego się papierosa lekko drgnęły, po czym wolno podniosły go do ust.

— Nigdy nie słyszałem o żadnej takiej sprawie, panie kapitanie. Aresztowano mnie za wełnę i dlatego tu siedzę. Zajmowałem się jedynie...

— Konikami — przerwał Mirski. — W każdą środę, sobotę i niedzielę „bomba w górę, a koniki w ruch”, co?

— I o tym też pan wie, panie kapitanie?

Mirski milczał chwilę, po czym dorzucił:

— Wiem i to, że ostatnio szczęście panu sprzyjało. Trafił pan zupełnie nieźle i nawet dobrze zapłacili. Ładna sumka była, co? Gratuluję!

— To pan kapitan też chodzi na tory? — Kowalski wyraźnie poweselał.

— Bywam, ale rzadko, czasu mało — odpowiedział oficer. — Kiedy przejdę na emeryturę, pewno się tam spotkamy. Bardzo lubię konie.

— Oj, chyba nie spotkamy się na torze. Pan kapitan taki jeszcze młody, a ja stary grzyb. Mało mi brakuje do końca, a to siedzenie tutaj dobija mnie do reszty. Zglupiałem na stare lata i muszę siedzieć.

— Tak się często zdarza, a niemałe

mam doświadczenie w prowadzeniu spraw dewizowych, że bardzo krótka jest droga od „koników” do twardych”. W pana przypadku było podobnie. Ale pan twierdzi, że nie miał z tamtymi sprawami nic wspólnego. Ktoś tak nagle przyjeżdża aż do Łodzi, żeby sobie z panem porozmawiać. Dziwne, panie Kowalski, prawda?

Przesłuchiwany nic nie odpowiedział.

Ożywiona twarz, gdy sprawa dotyczyła toru wyścigowego, spochmumiała, kiedy tylko Mirski przeszedł na inny temat.

W miarę upływu czasu Kowalski coraz częściej rzucał na oficera krótkie, przenikliwe spojrzenia, cichł, a opuszczone czoło niemal dotykało blatu biurka.

Okolo południa, kiedy Mirski decydował się już na przerwanie dzisiejszego przesłuchania, Kowalski jak gdyby ocknął się. Wyglądał teraz jak człowiek, który z dalekich marzeń powrócił do rzeczywistości.

— Panie kapitanie — pochylił się w stronę oficera konfidencjonalnie. — Mam do pana prośbę.

— Słucham.

— Mam do pana prośbę — powtórzył Kowalski i złamanym głosem dodał: — Już niedługo umrę, a chciałbym...

— A chciałby pan mieć czyste sumienie — szybko dokończył Mirski, czując jednocześnie ukryty niepokój, charakterystyczny dla tych momentów, kiedy zbyt łatwo dochodziło się do celu.

— Tak — potwierdził Kowalski. — Chciałbym mieć czyste sumienie i dlatego proszę pana kapitana, aby moja rodzina mogła po śmierci zabrać moje zwłoki.

— Nie ma potrzeby o tym teraz myśleć, panie Kowalski — odpowiedział spokojnie Mirski, udając, że nie dostrzega ukradkowego spojrzenia, które śledziło efekt poprzednio rzuconych słów. — Przerwiemy tymczasem przesłuchanie, a za kilka godzin zaczniemy rzeczową rozmowę.

### **Adres w kalendarzyku**

Przesłuchanie Kowalskiego trwało.

— A więc od kogo kupił pan te dwudziestki, panie Kowalski? — powtórzył po raz drugi kapitan Mirski. — Mogę pana zapewnić, że już wiemy o tej sprawie niemało. Wiemy na przykład, że tego dnia było ich niedużo, że zaniósł je pan do pewnej kobiety, wiemy także dokąd. Spóźniliśmy się jednak.

— To prawda. Spóźniliście się, panowie. Gdyby nie to, nie musiałby mnie pan pytać o nic.

Zapalili.

— Powiem panu, kapitanie, ale pod jednym warunkiem. Musi pan uwierzyć, że to był pierwszy raz i nigdy dotąd nic podobnego mi się nie zdarzyło.

— Wierzmy ludziom, nawet pozbawionym wolności.

— Bo to było tak — zaczął Kowalski. — Któregoś dnia spotkałem na ulicy dawną znajomą. Zaprosiła mnie na kawę. W trakcie rozmowy zaproponowała sprzedaż „twardych”. Miałem trochę własnych pieniędzy i ot, tak, po kupiecku, na wszelki wypadek odpowiedziałem, że owszem, kupię, ale najpierw muszę się rozejrzeć za zbytem. Mówiąc szczerze chciałem kupić kilka dwudziestek na

czarną godzinę. Przypomniałem sobie jednak, że pewna pani pytała mnie o złote monety dolarowe, a porównując ceny doszedłem do wniosku, że parę złotych uda mi się przy okazji zarobić. Porozumiałem się z tą panią. Wyraziła gotowość kupna.

— Ile pan zarobił? — wtrącił kapitan.

— Nie tak wiele. Ta pani, która proponowała sprzedaż „twardych”, zaprosiła mnie na następny dzień do swego mieszkania. Spotkałem tam inną kobietę, jak wynikało z rozmowy — z Warszawy. Za załatwienie sprawy dostałem „patyka”.

Ta droga pani to nawet mówiła, że pewien pan w Warszawie bardzo się ucieszy, że wszystko poszło tak szybko.

— Mówiła coś bliższego o tym panu z Warszawy?

— Nie. Ale powiedziała, że jeszcze będę miał możliwość niejedną raz tak zarobić.

— I zarobił pan?

— Nie, bałem się. Myślałem, że jeden raz to można zaryzykować.

— Miał pan jeszcze podobne propozycje od tej pani?

— Miałem, a nawet osoba, która kupiła „twarde”, również nagabywała mnie o dalszy transport. Ale ja z tych ofert nie skorzystałem.

— Czy był pan kiedykolwiek później u pań, które sprzedały monety dolarowe?

— Nie, więcej się tam nie pokazałem.

— Proszę o ich nazwiska i adresy.

— Nie pamiętam ani jednego, ani drugiego. Jednak coś sobie zanotowałem w moim kalendarzyku, jest w depozycie. Chyba nawet zapisałem tam nazwisko i adres.

— Tymczasem dziękuję panu, panie Kowalski. Przypuszczam, że na wyścigach zobaczymy się wcześniej, niż pan myślał! — zakończył przesłuchanie kapitan Mirski.

Wychodząc do miasta był przekonany, że nie wyjedzie z Łodzi z pustymi rękami.

### **Kapitan i płotka**

Mirski niecierpliwił się, czekając w gabinecie naczelnika Wesołego na moment, w którym wreszcie zostaną sami. Spieszno mu było do Warszawy.

— No i jak poszło? — zapytał Wesoły. — Co, nie mówiłem, że to zwykła płotka?

— Płotka nie płotka. Jeśli płotka to

jedynie w sprawie wełnianej. Oddał mi większe usługi, niż się spodziewałem.

— Co ty mówisz, jednak przydał się? — zdziwił się naczelnik dochodzeniówki.

— Jeszcze jak! Ale w związku z tym tobie też dojdzie trochę dodatkowej roboty — oświadczył kapitan podając Wesołemu kartkę z wypunktowanymi zadaniami. — I pamiętaj: przywieźcie kobietę jutro do mnie do komendy. Ale to koniecznie. Gdyby jakieś przeszkody, telefonuj nawet dziś.

— Więc nie zostaniesz na wieczór? — Twarz naczelnika Wesołego wyrażała szczerzy zawód. — Żona tak liczyła na ciebie...

— Wiesz, stary, naprawdę nie mogę. Zrozum. Odbijemy to sobie następnym razem.

### **Profesor wpadł**

Mirski po powrocie z Łodzi natychmiast zameldował się przełożonemu.

— Siadaj i mów, co znalazłeś.

Kapitan opowiedział wyniki służbowego pobytu.

— To znowu jakiś mały ślad. Ale mam dla ciebie inną niespodziankę.

— Słucham uważnie, pułkowniku...

— Dzwonili z Berlina. Mają coś dla nas. Będziesz musiał natychmiast tam polecieć.

— Rozkaz jest rozkazem, ale czy to bardzo pilne?

— Tym razem tak, mają kogoś od nas z kraju. Podobno cię zainteresuje.

— Dobrze, pułkowniku, wyjadę jeszcze dziś wieczorem.

Kapitan wyszedł z komendy w nie najlepszym humorze. Miał osobiste plany na niedzielę, które będzie musiał zmienić. A należał do gatunku ludzi, którzy niechętnie to robią.

Wprost z pociągu pojechał do siedziby Komendy Policji Ludowej NRD. Był zmęczony i niewyspany. Nie udało się zdobyć miejsca w wagonie sypialnym. Wszędzie przepełnienie.

Jadąc taksówką klął, że to właśnie niedziela i nasze samoloty nie kursują.

W komendzie czekano na niego. Pułkownik Miron, jak zwykle uśmiechnięty i przyjacielski, powitał go serdecznie.

— No, jesteś nareszcie — prowadził kapitana do wygodnego fotela. — Okazuje się, że można cię ściągnąć do nas tylko na dobrą przynętę.

— Jestem piekielnie ciekawy — niecierpliwił się kapitan Mirski.

— Powiem ci krótko — rzekł pułkownik Miron. — Wpadł nam w sidła dobry ptaszek. Mam wrażenie, że w ten sposób odkryliśmy kanał przerzutu dolarów.

— Przeprowadziliście przesłuchania?

— Tylko wstępne. To jest wasz obywatel i wam go zostawiam. W walizce znaleźliśmy dowody rzeczowe, przyznał się, od kogo ją otrzymał.

— Duża suma? — spytał kapitan.

— Dziesięć tysięcy dolarów. W banknotach.

— Sporo! Pasuje! To wcale nie płotka.

— Proponuję, abys sam pogadał z tym panem — zakończył rozmowę pułkownik Miron.

### **Późna wizyta**

Witold, wysoki, szpakowaty mężczyzna po pięćdziesiątce miał wykwintne maniery, jak przystało na człowieka z dobrego domu. Nazwisko i sygnet na palcu podkreślały jego przyzwyczajenia. Nieskazitelnie skrojony garnitur, brylancik w krawacie i platynowe spinki w mankietach wskazywały, że grosza mu nie brak. Zaledwie włożył białą koszulę, roz

legł się natarczywy dzwonek. Witold wzdrygnął się. Nie był przyzwyczajony do odwiedzin w jego prywatnym mieszkaniu. I do tego o tak późnej porze. Zwykł wszelkie sprawy urzędowe i nieurzędowe załatwiać na mieście lub w garsonierze. Niespodziewanym gościem okazał się Jan.

Przywitał się bez słowa i nie zdejmując płaszcza przeszedł do pokoju. Witold zaniepokoił się, pojawienie się Jana w jego prywatnym mieszkaniu nie wróżyło bowiem nic dobrego. Umawiali się, że w prywatnych mieszkaniach będą się odwiedzać jedynie w wyjątkowych wypadkach.

— Co cię sprowadza? — pierwszy odezwał się gospodarz, nie starając się nawet ukryć swego niezadowolenia. — Czyżby wpadka?

Jan w milczeniu kiwnął głową. Witold usiadł obok.

— Mów, kogo zatrzymali! Mowę straciłeś czy co?

— Tego profesora. W Berlinie. Nowy transport nie doszedł do odbiorcy. Już dwukrotnie rozmawiałem z Berlinem. Kazałem im czekać. Ustaliłem też, że samolot nie uległ żadnej awarii, a więc nigdzie przymusowo nie lądował. Do Berlina przybył o czasie. Profesor powinien być na miejscu tego samego dnia. Nie był ani tego, ani następnego. Chyba więc wpadł.

— Czy ktoś wychodził po niego na lotnisko?

— Tym razem nie. Otrzymał tylko adres.

— A przecież mówiłem, aby zawsze wysyłać kogoś na spotkanie, nawet dyskretnie — krzywił się



gospodarz.

— Masz może rację, ale to już nic nie pomoże.

— Do rzeczy — Witold zmienił ton. — Czy przewoźnicy cię znali?

— Nie, z wyjątkiem Miry, ale ona doleciała w porządku. To był ten przedostatni transport — tłumaczył Jan.

— Ta Mira pewna?

— Z tego, co opowiadał o niej Szorski, tak. Poza tym szła raczej na jednorazowy zarobek. Była w trudnej sytuacji materialnej, ale o zasadniczej sprawie nic nie wiedziała. Nawet nie miała podstaw do snucia domysłów. Po prostu z jej strony drobna przysługa, a z naszej strony wspaniałomyślny gest dla człowieka w potrzebie. Wydaje się, że łączyły ją jakieś stosunki z Szorskim. Ale to ich sprawa.

— Co ona wiedziała o tobie? — spytał Witold.

— Tylko tyle, że jestem znajomym Zygmunta i zależy mi na jego przyjaźni.

— To niedobrze. Ustaliliśmy przecież, że nikt cię nie będzie znał prócz Zygmunta Szorskiego. Z przewoźnikiem mógł się stykać tylko ten, kto z kolei mnie nie zna. Teraz sprawa wygląda zupełnie inaczej — złościł się Witold.

— Mira zna przecież tylko Zygmunta, a teraz przebywa jeszcze w Berlinie. Możemy więc być o nią spokojni.

— Ale Zygmunta zna profesor. Jak go tam przycisną, to wszystko wypaple. — Witold nie ukrywał irytacji. — Wezmą więc Zygmunta, ten z kolei sypnie ciebie, ty mnie, a ja... Nie, ja nie powiem nikomu o niczym. Wolę zginąć. Ale wtedy robotę tylu lat, cały wysiłek diabli wezmą. Wszystko przez twoją głupotę. — Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, aby Witold rozmawiał takim tonem z Janem.

— Nie jest jeszcze tak źle, szefie. — Jan miał nadzieję rozładowania napiętej sytuacji. — Mamy jeszcze jedno wyjście.

— Jakie?

— Omawialiśmy przecież w swoim czasie różne sytuacje, ustaliliśmy, że w określonych momentach będziemy postępować bardzo zdecydowanie. W razie wpadki mieliśmy iść na całego.

— Oczywiście, ustaliliśmy — Witold domyślał się, o co Janowi chodzi. — Ale kto to zrobi? Odzwyczaiałem się od takich historii.

— Sam to załatwię — rzekł z przekonaniem Jan.

— Kto, ty?

Witold wziął ze stołu drewnianą skrzyneczkę, wyjął z niej kubańskie cygaro, odgryzł koniuszek i zapalił. Zaciągnął się głęboko, myśląc jednocześnie, że Jan, w obawie przed rozpadem tak precyzyjnie zmontowanej grupy, zdecydowany jest na wszystko.

— A jak to zrobisz nie dość umiejętnie? — zapytał. — Zupełny krach. Zdaje się, że większej praktyki raczej nie masz.

— Nie martw się o mnie. Mam pewną rękę i jeszcze baśka pracuje.

— Sprawa jest niezręczna. Ale jeśli jesteś zdecydowany. Może jeszcze znajdziemy inne wyjście. Ucieczka? — zastanowił się Witold. — Może lepiej zdecydować się na ucieczkę? Zwiniemy cały majdan i hajda.

— Ale dokąd?

— Warto by się nad tym zastanowić.

— Ja jednak nie widzę, przynajmniej teraz, innego wyjścia. Muszę tylko poczekać na ostateczny sygnał z Berlina. Chcę mieć pewność. Jeśli okaże się, że to bezwzględna wpadka, to nie czekając ani chwili kończę sprawę — rzekł stanowczo Jan.

— A jak wpadł i nic nie powiedział?

— Wierzysz w cuda — zirytował się Jan. — Kto by chciał, będąc bez winy, brać na siebie całą odpowiedzialność? Gdyby jeszcze chodziło o kogoś innego... Sypnie od pierwszej chwili, powie, skąd to ma i od kogo. Wszystko, co tylko będzie wiedział.

— Masz rację — rzekł Witold po namyśle. — Jeśli w ciągu dwóch dni nie otrzymasz potwierdzenia odbioru paczki, możesz przystępować do roboty, która — przyznam — wcale mi nie leży. Ale musimy być bezwzględni, jeśli chcemy ratować siebie i sprawę. Pracując z nami, musiał się liczyć z wszelkimi ewentualnościami. Uprzedzaliśmy go lojalnie.

— Zamelduję o wykonaniu zadani; Witoldzie — uśmiechnął się Jan, zabierając się do wyjścia.

— Poczekaj, poczekaj — zatrzymał go Witold. — Kieliszek koniaku nie zaszkodzi ani mnie, ani tobie.

Jan z przyjemnością wchłonął w siebie ożywczy płyn.

— Jeszcze jedna sprawa — powiedział Witold. — Na dole stoi fiat 1400. Weź go, bo ten twój zielony moskwicz jest, wydaje mi się, już spalony. Swojego forda zarejestrowałem na jednego tam półgłówka. Nie będzie kłopotu.

Wypili po jeszcze jednym kieliszku.

### **Jagodowe nazwisko**

Kapitan Mirski siedział za biurkiem w gabinecie berlińskiej policji. Przed nim, trzęsąc się ze strachu i niepewności, stał właściciel zatrzymanej walizki.

— Proszę siadać. Jestem kapitanem Milicji Obywatelskiej — przedstawił się Mirski. — Pana personalia już znam.

Profesor z wyraźną ulgą opadł na wskazane sobie krzesło. Odmówił przyjęcia papierosa. Nie palił.

— Od kogo otrzymał pan te dolary? — rozpoczął śledztwo Mirski.

— Wyjaśniałem już pana poprzednikom, panie kapitanie, że nie wiedziałem nic o dolarach. Mówię prawdę. Miałem tę walizeczkę oddać jakiejś pani. To był podobno prezent. Miała osobiście zgłosić się po odbiór tuż po wylądowaniu samolotu w Berlinie. Umówiliśmy się też, że jeżeli ta pani się nie zgłosi, jeszcze tego samego dnia odniosę walizkę pod wskazany adres.

— Założmy, że walizka i dolary nie należały do pana. Kto więc jest jej właścicielem, komu miał ją pan odnieść?

— Panie kapitanie! Proszę mi wie

rzyć — tłumaczył się profesor — zdenerwowałem się do tego stopnia, że zapomniałem nazwisko tej pani i adres. Wiem jedynie, że nazwisko przypominało jakiś owoc, tylko z niemiecką końcówką na..c". Jakoś Jagódkę, Orzeszkę, Truskawkę...

— To coś tak, jak z tym Żelaznym z „Przygód dobrego wojaka Szwejka”?

— wtrącił kapitan z uśmiechem.

— Tak, sytuacja identyczna i ja tu jestem tym oberstem — uśmiechnął się również profesor. — Przypominam sobie podobne wydarzenie opisane w humoresce „Końskie nazwisko” Czechowa. Ale panie kapitanie, ja już dwie noce się męczę i nie mogę sobie przypomnieć tego nazwiska. Wypadło mi z pamięci i adresu także nie pamiętam. Chciałem zapisać, ale proszono, abym go zapamiętał. Zresztą mówiono mi, że ta pani z pewnością zgłosi się po odbiór. Liczyłem na to i do adresu nie przywiązywałem zbytnej wagi.

— Wierzę, że pan zapomniał, ale mam nadzieję, że prędzej czy później przypomni pan sobie nazwisko i adres — przerwał kapitan. — A może łatwiej będzie wyjaśnić, kto panu wręczył tę walizkę? Oczywiście w Warszawie. Nie może pan przecież tłumaczyć, że przyjął przesyłkę od nieznanego. Wyglądałoby to zbyt niewiarygodnie, panie profesorze, prawda?

— Zgadząm się z panem. Znam nadawcę. Byłem jego nauczycielem. To mój uczeń i wychowanek.

— Jakie jest jego nazwisko i adres?

— Nazywa się Zygmunt Szorski, ale gdzie mieszka, nie wiem. — Widząc jednak psinę niedowierzania minę kapitana, szybko dodał: — Zygmunt był moim uczniem, gimnazjum mieściło się przy ulicy Stawowej. Z całą pewnością tam znajdziecie jego adres. Przynajmniej z tego okresu, kiedy chodził do szkoły. Milicja na tej podstawie może przecież

ustalić aktualny adres, nawet jeśli zmieniał go kilkakrotnie.

— Oczywiście, odnajdziemy go, jeśli to wszystko, co pan mówi, jest prawdą — rzekł poważnie kapitan. — I jeszcze jedno. Proszę mi szczegółowo opowiedzieć, w jaki sposób doszło do wręczenia panu tej kompromitującej przesyłki.

— To było tak — zaczął profesor. — Przed wyjazdem do Berlina, a chciałem panu powiedzieć, że mój pobyt miał charakter naukowy, odwiedził mnie dawny uczeń, Zygmunt Szorski. Kiedy w trakcie rozmowy zgadało się coś na temat planowanej podróży, Szorski zapytał, czy nie mógłbym zabrać do Berlina prezentu dla jego znajomej. Miała to być jakaś rekompensata za drobną przysługę, jaką ta pani oddała Zygmuntowi jeszcze w czasie okupacji. Chodziło o przesłanie nowej, ładnej i do tego pustej walizeczki. Moja walizka była już solidnie podniszczona, więc chętnie przystałem na tę propozycję, bo i tak chciałem kupić nową w Berlinie. Ale gdybym wiedział... Na dwa dni przed odlotem przyszedł do mnie Zygmunt i przyniósł walizeczkę. Wręczył mi również powrotny bilet lotniczy. Odmówiłem przyjęcia biletu, ale Szorski wyjaśnił, że otrzymał okazji, więc i tak straci ważność. Odchodząc życzył mi przyjemnego pobytu. Pobyt rzeczywiście przyjemny, w berlińskim areszcie.

— A później w warszawskim — uzupełnił kapitan Mirski. — Pozostanie pan do naszej dyspozycji, dopóki sprawa całkowicie się nie wyjaśni. Przyspieszenie zależy również i od pana, panie profesorze. Musi pan ułatwić nam zadanie, podając możliwie najwięcej szczegółów i to dokładnych.

— Jeśli o mnie chodzi, podam wszystko, co wiem, i proszę mi wierzyć, będzie to szczerą prawdą. Jestem przekonany, że wreszcie sobie przypomnę i to jagodowe nazwisko, a może i adres.

— Dobrze. Otrzyma pan mapę Berlina, może odczytując nazwy ulic natknie się pan na właściwą. Teraz proszę opisać mi wygląd Szorskiego i jego charakter.

Kapitan Mirski intuicyjnie wyczuwał, że stary profesor mówi prawdę.

### **Kapitan niepokoi się**

Po dwóch dniach kapitan Mirski wrócił z Berlina, choć zatrzymywano go tam niemal siłą. Pułkownikowi Mironowi udało się osiągnąć jedynie tyle, że Mirski był z nim w teatrze, a następnego dnia dał się namówić na obejrzenie berlińskiej stadniny koni wyścigowych.

Natychmiast po powrocie kapitan złożył meldunek szefowi Kalecie.

— Nie ulega wątpliwości, że prowadzona przez was sprawa posuwa się naprzód — uśmiechając się stwierdził Kaleta. — Cieszę się z tego i jestem przekonany, że zbliżamy się do końca tej zabawy.

— Do końca jeszcze daleko — odparł kapitan. — Ale zawsze coś niecoś mamy w rękę.

Po rozmowie z szefem Mirski zaprosił do siebie pracowników operacyjnych i zapoznał ich z wynikami przesłuchania profesora w Berlinie.

Przedstawił wszystkie informacje o Zygmuncie Szorskim i polecił, aby możliwie najszybciej ustalili adres podejrzanego.

Późnym popołudniem Mirski siedział zamyślony przy biurku. Przed nim leżały rozłożone akta, ale kapitan nie mógł zmusić się do pracy. Z niecierpliwością czekał na wiadomość o Szorskim.

Ktoś zapukał. Wszedł oficer ze służby operacyjnej i zameldował, że adres Zygmunta Szorskiego

został odszukany. Ustalono jednocześnie, że poszukiwany Zygmunt Szorski nie żyje.

— Co wy mówicie, poruczniku? — kapitan Mirski zerwał się zza biurka jak oparzony. — Od kiedy? To niemożliwe!

— Przedwczoraj zginął w wypadku. Niedaleko Warszawy znaleziono spalone jego zwłoki w samochodzie. Syrenka była własnością Szorskiego. Po pijanemu wpadł na słup przydrożny, wóz stanął w płomieniach.

— Mieszkanie zabezpieczone?

— Tak jest — meldował porucznik.

— Kto prowadzi sprawę?

— Komenda Miasta.

— Dobrze. Obejrzymy sobie to mieszkanie — postanowił kapitan Mirski.

### **W garsonierze Witolda**

Spotkanie Jana z Witoldem tym razem odbyło się w garsonierze. Mieściła się ona w ruchliwym punkcie miasta, miała dyskretne wejście, a nawet dodatkowe wyjście przez podwórko na inną ulicę.

Centralne miejsce obszernego pokoju zajmował tapczan, długi i szeroki, zasłany puszystą narzutą. Podłogę pokrywał ory<sup>A</sup> ginalny dywan — zszyte ze sobą wilcze skóry o długiej sierści.

Witold kończył przyrządzanie cocktailu według własnej recepty. Widząc zaciekawienie gościa, powiedział z odcieniem dumy:

— Co, podoba ci się? Nie byłeś tu u mnie jeszcze! Urządzenie praktyczne i ciekawe. Lepsze niż w poprzednim miejscu. Musiałem się stamtąd przenieść. Gliny deptały mi po piętach, a ja wolę być bardzo ostrożny. Po co im dawać -jakiegokolwiek podejrzenia. Gdybyś kiedyś potrzebował tej mety, daj mi znać...

— Urządziłeś się wcale, wcale — przerwał Jan. — W tej chwili jednak nie mam do niczego głowy. Daj no tego cock-

tailu, chociaż mówiąc szczerze, wolałbym setę czystej.

Witold podał kielich z mętym płynem.

— Pij! — zachęcał. — Wprawdzie spisałeś się dzielnie, ale nawaliłeś, i to na całego, w jednym.

— W czym? — zaniepokoił się Jan.

— Czytałem w prasie tę ich wzmiankę o wypadku. Że też ci nie poradziłem, abyś wziął inny samochód. Przecież moskwicz jest zarejestrowany na twoje nazwisko. Numer z pewnością odcyfrują i przyjdą do ciebie. Mówiłem już kilka razy, żebyś przestał bawić się tym swoim pudłem i wziął sobie inny. Teraz nie wiem, jak będziesz się tłumaczył?

— Ty byś może zapomniał o samochodzie, ja jednak pamiętałem. Starzejesz się, tracisz spostrzegawczość i pamięć. — Jan przy okazji wsadził koledze szpileczkę. — W „Ekspresie” była mowa o wypadku syrenki-. Ja, jak dotąd, mam moskwicza.

— Więc to był jednak jego samochód? — ucieszył się Witold. — Że też tego nie zauważyłem.

— Widzisz, jednak jesteśmy obaj wyczerpani nerwowo.

— No, to gratuluję ci. Zaraz wyciągnę eksportową, chociaż' wolę koniak.

Witold nalał kieliszki.

— Musisz jednak zabrać tego fiata 1400.

— Zabiorę — rzekł Jan, krzywiąc się po wódce. — Co mam zrobić z moim moskwiczem?

— Niech tymczasem stoi u ciebie. Mam w garażu dość miejsca. Fiat też się zmieści.

— Miejsca wystarczy. Jeszcze dziś zabiorę fiata.

— A teraz dalej — ciągnął Witold. — Przeanalizowałem całą sprawę. Myślę, że więcej nie ma co zawracać sobie głowy walizkami. Musimy zmienić metodę działania. Wydaje mi się, że trzeba

przede wszystkim pomóc Krystynie. Nie daje sobie rady. Rozmawiałem z nią przed tygodniem i skarżyła się, że zapotrzebowanie rośnie i sama nie może wszystkiego załatwić. Zresztą istnieje przecież nie tylko Łódź, trzeba rozkręcić także i w innych miastach.

— To prawda — przytaknął Jan.

— Musisz jej pomóc — zdecydował Witold. — Jest to trochę inne zadanie, jednak wcale nie gorsze. Przejmiesz od niej niektóre kontakty, będziesz się starał nawiązać nowe. To, co do niej należało, zrobiła, teraz kolej na nas.

— A gdyby tak na kilka miesięcy przerwać robotę i odpocząć? Obaj mamy zszarpane nerwy. Może nam się przytrafić jakaś gafa, którą trudno już będzie naprawić.

— Masz dużo racji, Janku — Witold nalał wódkę do kieliszków. — Nie sposób jednak wstrzymać raz rozkręconej maszyny. Lada moment będę miał dla ciebie ważne polecenie centrali. Weź się, bracie, w karby. Może za dużo pijesz tej czystej?

### **Złota bransoleta**

Ekipa milicyjna, którą dowodził kapitan Mirski, już od godziny badała szczegółowo mieszkanie Szorskiego. Była to piękna kawalerka. Szorski mieszkał sam, ale w pokoju i łazience bez większego trudu milicjanci odnaleźli ślady pobytu kobiet. Kiedy weszli do środka, na stole leżało kilka arkusików papieru i wieczne pióro. Sporo niedopałków zapełniało popielniczkę. Jeden z nich ze śladami szminki.

Na stoliku pod ścianą pełno było wszelkiego rodzaju drobiazgów i zdjęć. Kapitan Mirski szczegółowo obejrzał łazienkę. Bliżej zainteresowała go szklana półka pod lustrem, gdzie obok przyborów do golenia spostrzegł damski grzebień z grubym uchwytem.

Kapitan badał centymetr po centymetrze wewnątrz łazienki. Już miał zrezygnować z dalszych oględzin, kiedy pod nóżką wanny dojrzał coś błyszczącego. Wygrzebał przedmiot patyczkiem i ułożył na bibułce. Była to złota bransoletka z czerwonymi kamieniami w ogniwach.

— Ręczna robota — mruknął sam do siebie.

Porucznik Jaworski, który towarzyszył Mirskiemu, zainteresował się zdjęciami. Miał ich przed sobą cały stos. Każde z nich uważnie oglądał, posługując się niekiedy lupą.

Na jedną fotografię zwrócił szczególną uwagę. Obejrzał ją dokładnie, zainteresował się podpisem na odwrocie.

Podał ją Mirskiemu, który właśnie wychodził z łazienki, dzierżąc triumfalnie złotą bransoletkę.

— Ładna, co? — zapytał Stefan, podsuwając zdjęcie tuż pod oczy kapitana Mirskiego.

— Tak, bardzo ładna i bardzo zgrabna — machnął ręką Mirski, jak gdyby chciał przepędzić uprzykrzoną muchę. — Tobie zawsze kociaki w głowie, a tu jest poważna robota.

— Powiedziałeś, że zgrabna, czyżbyś ją już kiedyś widział?

— A może to ty ją znasz? — odparował Mirski.

— Znam i to wcale nieźle — spokojnie wycedził Stefan.

Teraz dopiero opowiedział kapitanowi Mirskiemu, w jakich okolicznościach poznał Mirę, jej to bowiem zdjęcie znalazł w mieszkaniu Zygmunta Szorskiego. Wiadomość była ciekawa i zaskakująca. Mirski przestał się nawet chwilowo zajmować bransoletką, machinalnie odłożył ją na stolik.

— Wiesz — powiedział w zamyśleniu — fakt, że ją znasz, może wiele pomóc i wiele wyjaśnić. Ciekawe, co ją łączyło z Szorskim, czy tylko romansowe historie?...

— Ba, gdybym wiedział — odpowiedział Stefan. — Dla mnie to też zagadka.

— Zagadkowa jest także jej podróż do Berlina. Comiała wspólnego z grupą, do której należał Zygmunt Szorski, profesor i inni?

— Tak, sprawa wikła się, ale i śladów coraz więcej.

Mirski spod oka zerknął na Jaworskiego.

— Zaczynam podejrzewać — roześmiał się — że masz jej adres.

— A żebyś wiedział, że mam! Nawet przy sobie, w tym notesiku. I jej prywatny telefon także. Nie wiem tylko, czy już wróciła z Berlina, bo miała tam zatrzymać się na dłużej.

— Ty piekielny szczęściarzu! — Mirski klepnął Stefana w plecy. — Zawsze gdzieś strzelasz i zamiast pewnego pudła, trafiasz w dziesiątkę.

### **Komendant wzywa**

Od kilku godzin Mirski z Jaworskim opracowywali listę osób, które ewentualnie można byłoby wezwać dla złożenia zeznań w sprawie, opatrzonej kryptonimem „Złote kółka”.

— Zacząłbym od przesłuchania Słoniewskiej.

— Krystyny? Masz rację. Powinna coś niecoś powiedzieć. Ale mam wrażenie, że to będzie ciężki orzech do zgryzienia.

— Też tak sędzę. Ale spróbujmy — powiedział w zamyśleniu Mirski. — Mija tydzień, jak nic nowego nie uzyskaliśmy. Sprawa właściwie zamknęła się na osobie Szorskiego, a ten nic już nie powie.

W tej chwili zaterkotał telefon. Komendant wzywał Mirskiego do siebie.

Wrócił podniecony.

— Mamy nową robotę i zdaje się, że

będzie to jakiś ślad lub kanał. Komendant otrzymał poufną wiadomość, nie zdradził jednak, skąd.

W tych dniach mają dokonać nowego przeliczenia dolarów w złocie.

— Powiedział coś bliżej: jakim sposobem, gdzie? — dopytywał się Jaworski.

— Prawdopodobnie z Wiednia. Samochodem. Nie wiadomo jednak, kto będzie przeliczał, nie ustalono również dokładnie daty i godziny.

— No, łatwo to nie pójdzie, sprawa zajmie nam kupę czasu.

— Pewnie — potwierdził Mirski. — Komendantowi chodzi, jak wywnioskowałem, głównie o ustalenie naszego krajowego odbiorcy. I chyba ma rację.

— Też tak myślę. Więc co — musimy zmontować specjalną ekipę, a może nawet dwie, bo trzeba będzie dyżurować.

— I mocne samochody. A z tym krucho.

O kierowców się nie kłopotę, pojedzie nawet mój Lipski. Ten si' nie da tak łatwo wyprowadzić w pole. To ważne, bo oni przecież też nie poślą pierwszego lepszego.

### **Z nosem na kwintę**

Kapitan Mirski wściekał się. Członkowie ekipy pościgowej milczeli jak trasie, wszyscy patrzyli w ziemię. Puścili drania i teraz przyszli złożyć meldunek.

— Trzy samochody i daliście się wyprowadzić w pole? Wiadomo z góry, że byle chłystka tam nie posadzą! Mieliście przecież mercedesy. Aż dwa! — pieklił się kapitan.

— Zgubiliśmy go na czerwonych światłach, już w mieście — usprawiedliwiał się podporucznik.

— Zorientował się widocznie, że jest pod waszą opieką i tylko kiep nie próbowałby uciec, korzystając z czerwonych

świeateł. Siedzieliście mu na karku, ot, ręką sięgnąć.

— Początkowo nie mieliśmy pewności, czy to ten — wtrącił jeden z oficerów, korzystając z okazji, że kapitan Mirski przerwał potok słów.

— A teraz już macie pewność? — kapitan nerwowo zapalał papierosa. — Czy rzeczywiście jesteście pewni, że o tego właśnie chodziło? Jakie miał znaki rejestracyjne?

— Warszawskie, numer znamy.

— Czekajcie. Porozmawiajmy spokojniej. Gdybyście go nawet zatrzymali, to i tak nici. Wykręciłby się sianem. Przecież mówiłem podczas odprawy, że dostawcą będzie facet z zagranicy. Waszym zadaniem było przejąć odbiorcę, ale oczywiście wtedy, kiedy już podjął przesyłkę. W najgorszym wypadku można było zdjąć i cudzoziemca, ale też tylko wtedy, kiedy siedział na dolarach. Widzieliście, że ford kontaktował się z jakimś innym wozem?

— Nie.

— Więc klasyczne pudło. I kto wie, może wtedy, gdy zabawialiście się w pogoń za fordem — dolary spokojnie przejechały do stolicy.

### **Dostawca się spóźnia**

Po odstawieniu forda Jan przebrał się, zdjął przydymione okulary, w których występował na szosie, włożył szary, miękki kapelusz i w pół godziny później dzwonił już do prywatnego mieszkania Witolda. Tak się tym razem umówili.

— No i jak? — zapytał Witold.

— Gorzej niż zwykle — odpowiedział wyraźnie zmęczony Jan. — Słuchaj, Witold, czy ty jeszcze rozmawiałeś z kimkolwiek na temat przesyłki?

— Absolutnie z nikim. A o co chodzi?

— Z odbioru fiasko. Dostawca spóźnił

się. Czekałem na niego pół godziny, tymczasem gliny mnie osaczyły. Trzy wozy: dwa mercedesy i warszawa. Ledwo się im wywinąłem. Po prostu zwiąłem i można to zawdzięczać mojej rutynie i twojemu fordowi. Ale numer samochodu spalony.

— Więc jednak nie odebrałeś przesyłki? Niedobrze! — Witold nalał dwa kieliszki koniaku. —> A może chcesz eksportowej?

— Wszystko mi jedno — Jan wyciągnął rękę po koniak i wypił jednym haustem. — Takie wyścigi to już nie na moje zdrowie. Ale mam satysfakcję. Pokazałem im, jak jeszcze potrafi jeździć starszy pan! Nie mają takiej wprawy i rutyny jak ja. Muszę jednak sumiennie przyznać, że ten kierowca mercedesa, który siedział mi przez cały czas na karku, to też artysta wysokiej klasy. Gdyby mercedes miał taki zryw jak twój ford, musiałbym tłumaczyć się, dlaczego uciekałem.

— Ciekawe, co byś powiedział, gdyby ci przyszło z nimi rozmawiać?

— Wcale nie uciekałem, tylko ścigałem się. Ot tak, dla sportu.

— Mam plan. Posiedź tu u mnie pół godzinki, a ja skoczę w pewne miejsce. To po sąsiedzku, wolę jednak nie korzystać z telefonu. Dowiem się, co się stało z dostawcą. Masz koniak, pij, ale uważaj, bo być może będziesz musiał jeszcze dzisiaj sprawy załatwiać.

Po pół godzinie Witold był już z powrotem.

— Gość się spóźnił, bo długo trwała odprawa celna. Widocznie kogoś szukali. Obeszli się z nim jednak grzecznie.

— Widzisz, jednak jakiś cynk był! — zaczął Jan. — Tu mnie gonili, na granicy też szukali. A ty mówisz, że nikt prócz nas o niczym nie wiedział.

— Nie mógł wiedzieć — zamyślił się Witold. — Zresztą kto ich tam wie?

— A co z tym dostawcą?

— Żywy i zdrowy, czeka na ciebie w Warszawie.

### **Spotkanie na Okęciu**

Porucznik Jaworski dowiedział się w ostatniej chwili, że z Berlina o godzinie czternastej odleciał samolot z Mirosławą Łazówną na pokładzie. Zameldował kapitanowi Mirskiemu, że jedzie na spotkanie Miry, szczegóły zaś przedstawi po powrocie.

Zabrał służbowy samochód bez milicyjnych znaków i pojechał na lotnisko. Wszedł do restauracji

dworcowej. Swoim zachowaniem i wyglądem niewyróżniał się w tym otoczeniu, nie zwracał na siebie niczyjej uwagi. Niepokoił się, że być może ktoś tam przyjdzie na spotkanie Miry. Wówczas będzie musiał się wycofać.

Wkrótce nadleciał samolot pasażerski z Berlina i przykołował przed wejście dworca lotniczego. Stefan, wypatrując Miry, przypominał sobie chwile spędzone razem w Berlinie. Zastanawiał się, jak też go ona dziś przyjmie.

Mira wyszła z dworcowego budynku po odprawie celnej i daremnie rozglądała się za taksówką. Przyjechało sporo pasażerów i nim Łazówna zorientowała się, wszystkie wozy były zajęte. Już zamierzała skorzystać z autobusu „Lot”-u, kiedy zjawił się przed nią porucznik Jaworski.

— Dzień dobry, panno Miro — skłonił się z niepewnym uśmiechem na ustach.

— Och, dzień dobry, panie Stefanie. Cóż za miłe spotkanie! — zawołała z nie ukrywanym zadowoleniem. — Czy pan odlatuje?

— Nie, miał przylecieć kuzyn z Paryża, ale widać nawalił. Jak się leciało? Bez przygód?

— Tym razem bez przygód. Ale po co wspomina pan przykre chwile? — odparła dąsając się Mira.

— Dla mnie wcale nie przykre — we

soło odpowiedział Stefan. — Dzięki tej burzy dostąpiłem zaszczytu poznania pani.

Przekomarzali się jeszcze chwilę, ale widać było, że oboje są zadowoleni ze spotkania.

— Jadę do miasta — powiedział Stefan. — Jeśli nic nie stoi na przeszkodzie, to może pani zabierze się ze mną?

— Bardzo chętnie i to z różnych względów — roześmiała się Mira. — Chociażby z tego powodu, że nie widzę tu wolnych taksówek.

— I jeszcze dlaczego? — przekornie dopytywał się Stefan.

— Pan chciałby wszystko wiedzieć... Więc powiem. Cieszę się z tego spotkania i będzie mi przyjemnie jechać z panem.

— Gdybym wiedział, że pani przyjedzie, przyszedłbym z bukietem kwiatów. A tak po drodze będę musiał wstąpić do kwiaciarni.

— Nie, nie musi pan. Kwiaty uwielbiam i liczę, że otrzymam je, kiedy tylko wpadnie pan do mnie.

Ruszyli pełnym gazem. Jaworski był dobrym kierowcą i wóz prowadził pewną ręką. Mira jednak nie była zwolenniczką szybkiej jazdy.

— Ale pan pędzi, panie Stefanie! — powstrzymywała go.

— Proszę się nie obawiać. Pamiętam, że wiozę panią. Dojedzie pani na miejsce zdrowa i cała. Zresztą nie chcę skończyć jak ten kierowca — dorzucił po chwili Stefan.

— Jaki kierowca? — zainteresowała się Mira.

— Nie wie pani? Ach, prawda — domyślił się Stefan. — Przecież nie czytała pani polskich gazet. Pisali w „Ekspresie”, że jakiś młody człowiek wyrzwał syrenką w przydrożny słupek, benzyna wybuchła

i spalił się żywcem.

Stefan celowo wspominał o wypadku, chciał bowiem zobaczyć, jak Mira na to zareaguje, czy już wie o śmierci Szorskiego, który przecież miał dedykowane mu zdjęcie Miry.

— No, widzi pan — podjęła swobodnie temat rozmowy. — Sam pan wspomniał

o skutkach takiej jazdy, a pędzi jak szatan.

— Już zwalniam.

Istotnie zwolnił, zatrzymywali się właśnie przed domem Miry. Dziewczyna roześmiała się i



zaprosiła go na filiżankę kawy, ale wytłumaczył się brakiem czasu. Umówili się, że spotkają się za kilka dni.

### **Krystyna milczy**

Już od tygodnia Krystyna Słoniewska przebywała w areszcie. Uparcie tłumaczyła przesłuchującemu ją oficerowi, że o niczym nie wie, że zaszła jakaś pomyłka. Nie zna żadnej kobiety z Łodzi i nigdy nie wchodziła w kolizję z prawem.

Kapitan Mirski postanowił osobiście porozmawiać ze Słoniewską. Zaczął przesłuchanie spokojnym głosem.

— Chciałbym pomówić z panią o sytuacji, w której się pani znalazła.

— Bardzo proszę. Marzę o tym, aby jak najszybciej wyjaśnić przyczyny mojego aresztowania. Jesteście wprawdzie mili, ale nie mogę powiedzieć, aby te rozmowy, z uwagi na moje położenie, sprawiały mi przyjemność. Uważam to wszystko za jakieś grube nieporozumienie.

— Wyjaśni się, pani Krystyno, wyjaśni — kapitan zwykł zwracać się do wszystkich przesłuchiwanym po imieniu, kurtuazyjnie prosząc uprzednio o zezwolenie. — Chyba pani nie łudzi się, że my w naszym fachu możemy sobie pozwalać na pomyłki. Owszem, być może kiedyś zdarzyła się jakaś, ale to niesłychana rzadkość. Jeśli przekonaliśmy prokuratora

o konieczności aresztowania pani, to już zapewne mieliśmy dość dowodów. Radzę o wszystkim powiedzieć, będziemy mieć spokój: i pani, i my.

— Ale jakie to dowody? — zapytała śmiało Słoniewska.

— Przyjdzie i na to czas — odrzekł kapitan. — Proszę mi wytłumaczyć, w jakim celu jeździła pani do Łodzi?

— Do Łodzi? Czy to już nigdzie nie można ruszać się z Warszawy?

— Jeździć można, ale w innym celu, niż to robiła pani.

— Na jakiej podstawie stawia mi pan takie nieokreślone zarzuty — zaperzyła się.

Kapitan wstał, podszedł do szafy i wyjął duże, płaskie pudło. Podał je Krystynie.

— Proszę tego nie upuścić, bo szkoda.

— A co to jest, panie kapitanie?

— Niech pani otworzy.

Pudełko wypełniały złote monety dwu- dziestodolarowe. Było ich kilka kilogramów.

Kapitan uważnie przyglądał się Słoniewskiej. Doskonale panowała nad sobą.

— Poznaje je pani? Wszystkie przeszły przez pani ręczki.

— Co też pan mówi! Przecież to majątek! — udawała zdziwienie.

— A jeśli przedstawię pani bezsporne dowody...

Tym razem zmieszła się.

— Nigdy nie miałam w ręku tych monet. Ani innych — znowu wracała jej poprzednia pewność siebie.

— Nawet polskich? Już bez przesady! W takiej grze czasami popełnia się błędy, pani Krystyno, i pani też taki błąd popełniła.

Zaprzeczyła raz jeszcze. Wówczas kapitan rzekł tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

— Jest tylko jedna i ta sama Krystyna Słoniewska. Drugiej nie ma. Tym razem gra wam nie wyszła, pani Krystyno. Ludzie, których ma pani na sumieniu, nie są skłonni darować pani. I nie o to

szczęście chodzi. Zawiodła pani swego pryncypała. Jak się zresztą okazuje, nigdy pani nie wierzył, zawsze mówił, że pani pokrzyżuje jego szyki. I tak się stało. Kiedy pani widziała po raz ostatni szefa?

Spojrzenie ucieka gdzieś w bok, lecz słowa i ton przeczą wyrazowi oczu.

— Nie wiem, o kogo chodzi. Proszę

o szczegóły.

— Kiedy ostatni raz pani z nim rozmawiała?

— Nie wiem, o kim pan mówi. Jestem ofiarą jakiegoś nieporozumienia.

Zaklął w myślach. Był przekonany, że rozmowa ze Słoniewską szybciej przyniesie jakieś rezultaty.

Zawiódł się. Uparta baba! Oczywiście poznała dolary, ale nie chce się przyznać. Zwracając się do aresztowanej rzekł:

— Przerwiemy już tę rozmowę. Radzę przemyśleć całą sprawę, bo wkrótce zobaczymy się znowu.

### **Czy mają odciski jej palców?**

Krystyna wróciła do swojej celi, drżąc na całym ciele. Najbardziej zaniepokoiły ją owe dwudziestodolarówki, które pokazał kapitan. I cóż z tego, że zaprzeczyła, jakoby kiedykolwiek miała z nimi coś wspólnego. A jeśli mają odciski jej palców! O tym nigdy nie pomyślała i wcale nie starała się zachowywać jakichś specjalnych środków ostrożności. Nie zawsze przecież miała rękawiczki, najczęściej liczyła monety, posługując się gołymi rękami.

Tak, odciski mogą znaleźć! — wstrząsnęła się na tę myśl.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że monety, które jej kapitan okazał, przeszły przez jej ręce. Była fachowcem w tej branży, rozróżniała monety po ich zewnętrznym wyglądzie. Nie były wcale używane, wprost z mennicy. O drugie takie jest przecież w Polsce trudno, z większością nie używanych dolarowych dwudziestek zetknęła się osobiście.

Tak, mieli niezbitą dowód. Stało się.

Ale co może powiedzieć o szefie? Przecież pytanie brzmiało konkretnie. I co milicja wie o tej całej sprawie? Ciekawe, kogo jeszcze aresztowali.

Całkowicie wyczerpana nerwowo, rzuciła się na prycze. Nie mogła zasnąć długo w noc.

Trzeba się będzie chyba przyznać, bo przyznanie się prawdopodobnie w pewnym stopniu złagodzi karę.

Przyjdzie spędzić kilka, a może kilka- naści lat w celi. Zadrzała.

Nie, kilkunastu lat nie dadzą. Przecież była jedynie wykonawcą. Nie jej towar i nie jej gotówka. Spełniała funkcje pośrednika i od tego otrzymywała prowizję.

O szefie i tak niewiele wie.

Postanowiła, że nie będzie się dłużej wypierać. Innego wyjścia nie widziała.

### **Kiedy pani poznała Zygmunta Szorskiego?**

Tej nocy Mira spała źle. Męczyły ją koszmarne sny, raz po raz zrywała się z krzykiem: widziała płonący samochód, siedział w nim Zygmunt i wzywał pomocy, chciała mu pomóc, lecz nogi miała jak z ołowiu, krzyknęła i... Obudziła się. Dzwonek w drzwiach terkotał niemiłosiernie.

— Kto tam? — spytała.

— Milicja Obywatelska. Proszę otworzyć.

— Chwileczkę, narzucę coś na siebie.

Co może chcieć od niej milicja? Przecież ledwie zdążyła wrócić do kraju! Włożyła pospiesznie szlafroczek i uchyliła drzwi.

W progu stał milicjant ze świstkiem papieru w ręku.

— Przepraszam, że o tej porze — tłumaczył się. — Jest godzina siódma i my już pracujemy.

— O co chodzi?

— Proszę, to jest wezwanie. Ma pani stawić się dziś o dziewiątej rano do Komendy Głównej MO.

— Do Komendy Głównej? W jakiej sprawie? — zdziwiła się.

— Nie wiem, to już tam wyjaśnią.

— A gdzie to jest? Czy w Pałacu Mostowskich, gdzie odbierałam wkładkę do dowodu osobistego?

— Nie. — Milicjant dokładnie wyjaśnił Mirze, jakim tramwajem dojedzie do komendy.

Zjawiała się punktualnie. Wciąż nie wiedziała, w jakim celu została wezwana. Doszła do przekonania, że chyba jednak chodzi o Zygmunta. Nie czekała długo, wkrótce poproszono ją do pokoju.

— Pani Mirosława Łazówna? — zapytał oficer w mundurze kapitana, a gdy Mira potwierdziła, przedstawił się: — Mirski. Proszę siadać.

— Ciekawa jestem, w jakiej sprawie zostałam wezwana? — zapytała Mira.

— Zaraz to pani wyjaśnię. Kiedy pani poznała Zygmunta Szorskiego?

— Zygmunta Szorskiego? Ależ on nie żyje! — wykrzyknęła. Więc to jednak o niego chodziło.

— Właśnie dlatego pytam.

— A skąd pan wie, że znałam tego człowieka?

— Są pewne okoliczności, które na to wskazują. Czy dawała pani denatowi jakieś pamiątki?

Mira myślała chwilę.

— Tak, dawałam mu kiedyś zdjęcie, chyba nawet z dedykacją.

— Czy to ta fotografia? — podał Mirze zdjęcie formatu pocztówkowego.

— Tak. I ja mu ją dałam. Ale to było bardzo dawno. — Mira odwróciła kartkę i prześliznęła się oczyma po dedykacji: Mojemu drogiemu Zygmuntowi Mira.

— Kiedy pani widziała się z nim po raz ostatni? — zapytał Mirski.

Mira opisała dość szczegółowo przebieg znajomości z Szorskim, podała również, że widziała się z nim dwa dni przed odjazdem do Berlina.

W tej chwili do pokoju weszła sekretarka i postawiła przed Mirą i kapitanem filiżanki kawy.

— Nawet nie zapytałem, czy pani pije kawę — tłumaczył się Mirski. — Ale bardzo proszę. Pani Janeczka, nasza sekretarka, umi? parzyć wspaniałą kawę.

— Więc chciałby pan wiedzieć, panie kapitanie — Mira sama powróciła do sprawy — kto mnie odprowadzał na lotnisko? Nikt mnie nie odprowadzał.

— A od kogo otrzymała pani walizeczkę, z którą poleciała pani do Berlina? — Mirski przeszedł na inny temat.

— Od Zygmunta. Ale co ma z tym wspólnego walizka?

— Czy pamięta pani, co mówił Szorski, wręczając pani walizeczkę?

— Tak. Powiedział, że kupił ją po to, abym w Berlinie wyglądała elegancko. Nawet zdziwił mnie ten jego gest.

— Mają pani ze sobą w Warszawie?

— Nie, podarowałam ją pani Malinkę, u której mieszkałam w Berlinie, bo bardzo jej się podobała. A pani Malinkę kupiła mi w zamian inną. Też bardzo elegancką. Czemu pan o to pyta? Jaki ma związek ta walizka z osobą Szorskiego

i jego wypadkiem?

— Czyż mówiłem pani o jakimkolwiek związku? Pytam po prostu z ciekawości.

### **Miła dziewczyna**

Kiedy Stefan Jaworski wszedł do gabinetu Mirskiego, było tu aż czarno od dymu. Nie pytając gospodarza, otworzył szeroko okno:

— Aleście nakopcili! Jak w wędzarni Czy ty tego nie czujesz, Kazik?

— Jestem już uwędzony i wszystko m jedno. Miałem przed chwilą odprawę, a ti wszyscy dymią jak parowozy — odpowiedział Mirski, częstując Stefana papierosem.

— Była? — zagadnął Stefan po chwili milczenia.

— Była. Rozmawiałem z nią. Miła. Interesujący typ kobiety.

— Prawda? To niepospolita dziewczyna. Ma w sobie coś... — entuzjazmował się porucznik Jaworski.

— ... co trudno rozgryźć — dorzucił ironicznie Mirski.

— No, no. Tylko bez aluzji. Powiedz raczej, jak ci poszło. Jestem bardzo ciekawy.

— Lepiej, niż przypuszczałem. Po rozmowie z Mirosławą mam coraz więcej wątpliwości co do śmierci Szorskiego. Jestem teraz przekonany, że to nie był zwykły wypadek.

— Mnie również zastanawia ta śmierć.

I tak bez żadnych śladów... Wygląda na to, że wypadek był przygotowany — i to z premedytacją.

— Pewne ślady tam są. Jest zapalniczka z wyraźnymi inicjałami, które nie pasują do denata. Podejrzenie wzbudza również nadmierna ilość kanistrów. Czyżby właściciel syrenki musiał mieć aż tyle benzyny? Jestem przekonany, że sprzątnęli go kumple. Po aresztowaniu profesora Tupeczki, a mam wrażenie, że się o tym dowiedzieli, Szorski stał się niebezpieczny. Woleli więc pobrudzić sobie ręce, aby tylko mieć pewność.

— Dobrze, ale kto to mógł zrobić? — zastanawiał się Stefan.

— Mira potwierdziła, że walizeczkę otrzymała od Szorskiego... rzekomo w prezencie. Oczywiście w walizce musiały być

ukryte dolary, podobnie jak w walizce, którą wiozł profesor Tupeczko.

— Trzeba dowiedzieć się od niej więcej szczegółów na ten temat.

— Będę miał okazję jeszcze dziś to zrobić — powiedział porucznik Jaworski tajemniczym tonem.

— Właśnie chciałem ci zakomunikować, że umówiłem się z Mirą. W poniedziałek zdam ci relację.

— Czekaj, mam tu jeszcze kilka szczegółów, które mogą cię zainteresować.

— Mów, ale szybko, bo szkoda dnia.

— To umówmy się, że porozmawiamy

o tym jednak w poniedziałek, bo sprawa wymaga spokojnego zastanowienia się. Chcę ci tylko przypomnieć, że walizkę wręczył Mirze Zygmunt Szorski dwa dni przed odlotem. Nie odprowadzał jej, wytłumaczył się jakimiś sprawami.

## **W „Rarytasie”**

Umówili się na sobotę o dziewiątej wieczorem w „Rarytasie”. Jaworski przyszedł wcześniej i postanowił zaczekać na Mirę przed wejściem do lokalu. Punktualnie

O dziewiątej wyłowił z tłumu spacerujących jej smukłą sylwetkę. Poszli od razu na górę, zajęli stolik tuż przy parkiecie, obok barierki. Orkiestra grała właśnie wiedeńskiego walca. Nie czekali nawet długo na kelnera.

Rozmowa zaczęła się oczywiście od berlińskich wspomnień. Atmosfera stawała się coraz bardziej swobodna, alkohol

1 miła orkiestra stwarzały nastrój. Tańczyli. Mira tuliła się do Stefana, kilkanaście razy podkreślała, że jest jej z nim bardzo dobrze, że cieszy się ze spotkania i z tego, że są razem. Ani słowem nie wspomniała o swojej wizycie w komendzie.

Kiedy już mieli dość jedzenia, a w butelce zaczęło przeświecać dno, Mira przysunęła się bliżej do

Stefana i delikatnie

ujęła jego rękę. Spojrzała mu w oczy. Odpowiedział uśmiechem bez słów. Dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu.

— Zazdroszczę panu spokoju, panie Stefanie — szepnęła wreszcie Mira. — Musi być panu dbroze na świecie, nie tak jak mnie.

Jaworski nie przerywał jej.

— Jestem sama — mówiła cicho. — A przy tym kłopoty. Nie mam się nawet z kim podzielić swymi troskami. Ej, co będzie, to będzie. Powiem panu pod warunkiem, że pozostanie to między nami. Wierzę panu święcie, a to mi przyniesie ulgę. Wie pan, wzywano mnie na milicję. Rozmawiał ze mną taki jeden kapitan. Przedstawił się, powiedział swoje nazwisko, ale nie zapamiętałam dokładnie. Coś Morski, Mirski... Pytał mnie o różne sprawy, o moje osobiste życie...

Zamilkła i puściła jego rękę. Widać było, że coś sobie nagle przypomniała.

— Czy mówił z panią tylko o jej sprawach?

Nie odpowiedziała na pytanie i ciągnęła dalej:

— Do tej chwili nie mogę się zorientować, po co właściwie mnie wzywano. I to do Komendy Głównej! Bardzo mnie to intryguje... Najwięcej wypytywano o mojego znajomego, Zygmunta Szorskiego. Ale może to pana nie interesuje?

— Mężczyznę interesuje wszystko, co mówi kobieta tak piękna jak pani...

— Dziękuję za cierpliwość, czuję potrzebę powiedzenia o tym komuś bliskiemu i dlatego zaczęłam od pana. Nie wiem właściwie, dlaczego. Powiem więc, o co mnie jeszcze wypytywali. Ten kapitan pytał, kiedy ostatni raz widziałam Zygmunta? Powiedziałam, że dwa dni przed odlotem do Berlina, a po powrocie dowiedziałam się o jego wypadku. Bo on zginął w katastrofie samochodowej, wie pan. Obawiam się, że milicja po prostu podejrzewa mnie, że mam jakiś związek z tym wszystkim.

— Przypominam sobie nawet to nazwisko — przerwał jej Stefan. — Podawano w prasie, że to był wypadek. Zapewne milicja prowadzi po prostu dochodzenie, aby zbadać wszelkie okoliczności śmierci. To jej podstawowy obowiązek. Skąd jednak milicja wiedziała, że pani знаła tego człowieka?

— Ten kapitan pokazał mi moje zdjęcie, które kiedyś ofiarowałam Zygmunтови. Pewnie znaleźli w jego papierach.

— I to już całe zmartwienie? — uśmiechając się zapytał porucznik.

— Myśli pan, że nie wystarczy?

— Oczywiście, że wypadek jest przykry, ale... Przecież była pani w tym czasie zagranicą. A czy nie podejrzewa pani, że ten Szorski miał jakieś porachunki z kolegami, że oni go tak urządzili?

— Nigdy nie słyszałam o żadnych porachunkach Zygmunta z kolegami. Był spokojnym człowiekiem. Ostatnio podobno trochę pił.

— Moim zdaniem nie powinna pani zaprzętać sobie głowy tym, co zaszło.

— Czy będą mnie jeszcze wzywali do milicji, jak pan sądzi?

— Trudno na to odpowiedzieć, ale wydaje mi się, że już raczej nie.

Minęła północ. Czas było kończyć miły wieczór i jechać do domu. Odprowadził Mirę. W drodze prosiła, aby pokazywał się u niej częściej. Zwierzyła mu się, że podświadomie czuje jakieś niebezpieczeństwo. Po prostu boi się.

Porucznik Jaworski zlekceważył jej przecucia, choć niedaleka przyszłość miała wykazać, że nie były one bezpodstawne.

**Dlaczego milczą?**

Po męczącej nocy, pełnej widziadeł

i złych snów, Krystyna Słoniewską rankiem postanowiła jednak nie zmieniać raz obranej taktyki i nie przyznawać się do niczego. Mirski nie dawał za wygraną i co jakiś czas wzywał ją na przesłuchanie. Zaprzeczała wszystkiemu, mimo to kapitan nabierał przekonania, że dziewczyna mięknie z dnia na dzień.

Milicja miała pewne dane o działalności Słoniewskiej, dowody obciążające ją, rozeznanie jej przeszłości. Należało jednak ustalić dalsze fakty i przygotować jak największą ilość dowodów, które stałyby się argumentem zmuszającym do szczerości w śledztwie.

Nad zbieraniem dowodów pracowała cała grupa funkcjonariuszy porucznika Jaworskiego. Krystyna przez cały czas intensywnie myślała nad zdobyciem dla siebie przekonywającego alibi.

Pobyty w celi znosiła coraz gorzej. Obliczyła, że właśnie mija siedem tygodni pobytu w areszcie. Czuli się psychicznie coraz gorzej. Wydawało się jej, że lada dzień załamie się i powie o wszystkim, co tylko wie. Taki dzień następuje u każdego.

Dlaczego wcześniej nie zerwała z tą grupą? Przecież miała trochę odłożonych pieniędzy. Wystarczyłoby na życie bez trosk i kłopotów. Mogła wziąć jakąś nie-krępującą posadę i miałaby święty spokój.

Jak dotychczas nie otrzymała żadnego znaku życia z zewnątrz. A przecież Witold powinien przekazać jej choć słowo. Tak długo pracowali razem. Chyba jej wierzył.

### **Z bukietem w ręku**

Stefan, przebrany w swój najlepszy garnitur, dokładnie wygolony, z bukietem zroszonych róż kupionych na Pięknej u Nowakowskiego, zapukał do mieszkania Miry. Przywitała go rozpromieniona, poprosiła, aby się rozgościł, sama zaś poszła do małej kuchenki za firanką, aby zaparzyć kawę.

Porucznik Jaworski z przyzwyczajenia rozejrzał się po ścianach, w pamięci notował rozkład mieszkania. Była to typowa kawalerka, wybudowana tuż po wojnie. Mira okazała się dobrą gospodynią, urządzenie mieszkania odznaczało się dobrym smakiem. Było tu przytulnie. Stefan przypomniał sobie teraz, że Mira boi się czegoś. Napomknęła już o tym dwukrotnie.

Zapach aromatycznej kawy wypełniał pokój. Mira ustawiła miniaturowe filiżanki, przyniosła dzbanek i ciastka. Postawiła również dwa głębokie kieliszki.

— Nie mam w domu wódki ani likieru — tłumaczyła się. — Musimy się obejść winem. Napije się pan wina?

— Chętnie!

Pytanie Miry miało charakter- czysto retoryczny, bowiem już zdążyła napełnić kieliszki czerwonym Egri burgundi.

Kawa była wyśmienita. Wino smakowało również.

— Co pani teraz czyta — porucznik rzucił okiem na tytuły rozrzuconych na tapczanie książek. — Br... hematologia. Coś o krwi.

— Tyle rozmyślałam o tym wypadku, że czytanie tego rodzaju książek sprawia mi po prostu przykrość. Ale trudno, muszę się przygotować do egzaminu. Taki jest los studentki.

— A jak w ogóle idzie nauka?

— Obecnie już nie najgorzej. Jednak nie tak, jak kiedyś. Jestem bardzo zmęczona i zdenerwowana.

— A może to otoczenie wpływa na panią? Ulica, przy której pani mieszka, do najspokojniejszych nie należy.

— Przyznam się panu, że obrzydło mi już to mieszkanie. Stale odczuwam niepokój — jeszcze raz przypomniała o swoich obawach.

— Hm — porucznik zastanowił się. — Wie pani co? Mam pewną propozycję. Czy pani musi stale być w Warszawie?

— Nie, nie muszę — odpowiedziała z zaciekawieniem.

— Zastrzegam się, że propozycja ta może być dla pani pewnym zaskoczeniem. Może jest zbyt śmiała, ale — proszę mi wierzyć — całkowicie uczciwa.

Mira nie przerywała.

— Otóż wkrótce wyjeżdżam w góry na odpoczynek. Może by się pani ze mną wybrała?... Z dala od Warszawy zginie zapewne ten niepokój, który pani odczuwa ostatnio. Nie będzie tam pani niczym skrępowana. Znajdzie się oddzielny pokoik. To ładny i przyjemny pensjonat.

Będzie się pani mogła uczyć, a w wolnych chwilach połączymy sobie po górach. Nie będę pani w niczym krępował ani przeszkadzał. Będę grzeczny i w miarę możliwości podporządkuję się pani woli i życzeniom. Wyprawa ta będzie kosztowała grosze, więc nie ma się co krępować.

— Nie chodzi o pieniądze — odpowiedziała Mira po dłuższym namyśle. — Oczywiście płaciłabym za siebie. Propozycja jest nader pojętna. Ale nie wiem, co pan o mnie pomyśli, jeśli ją przyjmę. Nie będzie pan myślał źle o mnie?

— Proszę nie przesadzać. Przecież to ja wysunąłem ten projekt z całą świadomością i pełen dobrej woli. Jeśli więc nie ma innych zastrzeżeń, uważam, że sprawa została załatwiona i możemy wypić po kieliszku wina za jej powodzenie.

Mira uśmiechnęła się z wdzięcznością. Porucznik Jaworski widział już taki uśmiech — w samolocie lecącym do Berlina.

— Proponuję ruszać za dwa dni. Samochód jest już przygotowany, wyjedziemy o szóstej rano i po południu staniemy w Zakopanem.

### **Profesor w Warszawie**

Kapitan Mirski poprosił do siebie porucznika Jaworskiego. W gabinecie siedziało już kilku oficerów.

— Berlin przekazał nam profesora — zaczął kapitan. — Przesłuchiwałem go jeszcze raz, ale nic to nie wniosło nowego do sprawy. Nazwiska ani adresu w Berlinie, dokąd miał się zgłosić, nie potrafił sobie przypomnieć. Konkret, to tylko osoba Zygmunta Szorskiego. I dużo, i mało. Jesteśmy zgodni z prokuratorem, że profesor musi pozostać w areszcie aż do całkowitego wyjaśnienia sprawy. Krystyna Słoniewską wciąż podtrzymuje swoje zeznania. Widać jednak, że jest wyczerpana nerwowo i chyba wkrótce zacznie mówić prawdę. A co nowego u ciebie? — pytanie kapitana skierowane było do porucznika Jaworskiego.

— Postanowiliśmy jechać z Mirą na tydzień do Zakopanego.

— Temu to dobrze, też bym pojechał — wtrącił uszczypliwie jeden z oficerów.

— Uwaga wcale nie na miejscu — odciął się porucznik. — Mira już kilka razy mi mówiła, że jest dziwnie niespokojna. Jeśli niepokój ten jest uzasadniony, to mam wrażenie, że niebezpieczeństwo może jej grozić wyłącznie ze strony kogoś, kto zlikwidował Zygmunta Szorskiego.

— Chyba masz rację — rzekł z namysłem kapitan Mirski.

Stawiam wniosek — kontynuował porucznik Jaworski — abyśmy zorganizowali stałą obserwację mieszkania Miry Łazówny.

— Zgoda — przytaknął kapitan. — To ważna sprawa. Oby nas tylko ktoś już nie uprzedził i nie zlikwidował dziewczyny.. Mielibyśmy dopiero wyrzuty sumienia...

### **Wypad w góry**

Porucznik Jaworski zajechał przed dom Miry punktualnie o szóstej. Za chwilę zeszła na dół — ubrana sportowo, z walizeczką w ręku. Ruszyli. Mira była w do

brym nastroju, paplała przez cały czas. Gdzieś koło Radomia, znużona przekomarzaniem się z Jaworskim oraz jednostaj- nością drogi, zaczęła drzemać. Nie zdając sobie sprawy przesunęła się

lekko i złożyła głowę na ramieniu Stefana. Ciężar był miły, szosa pusta i mógł sobie pozwolić na tego rodzaju skrępowanie ruchów.

Kiedy przebudziła się, Stefan zaproponował niewielką przerwę w podróży. Zatrzymali się przy najbliższej gospodzie gminnej spółdzielni.

— Nie spodziewałam się — mówi Mira — że na wsi może być tak nowoczesnie urządzona restauracja. Wcale nie gorsza niż w stolicy, a nawet dania są smaczniejsze i obsługa grzeczniejsza.

— O, to już od kilku lat — potwierdził Stefan — w wiejskich gospodach można zjeść lepiej niż w tych wielkomiejskich.

Posiedzieli jeszcze chwilę na werandzie, wypili czarną kawę.

— Tym razem bez likieru — usprawiedliwiał się Stefan. — Niestety prowadzę wóz. Odbijemy sobie w Zakopanem.

Wypoczęci ruszyli dalej. Zatrzymali się dopiero w Krakowie. Mira była tu pierwszy raz, więc po zaparkowaniu wozu poszli przynajmniej pobieżnie zwiedzić miasto.

Kraków podobał się Mirze. Obiad zjedli u „Wierzyńka”. Po południu byli już w Zakopanem. Mira zachwycała się urokiem Tatr i piękną panoramą, oboje rozkoszowali się ożywczym, górskim powietrzem. Pokoiki były przygotowane na ich przyjazd, znalazło się również miejsce w garażu.

Dni upływały szybko na wspólnych wycieczkach. Byli na Kasprowym, jeździli do Morskiego Oka, zwiedzili Dolinę Kościeliską i Chochołowską. Kiedy pogoda psuła się, spacerowali drogą Pod Regłami.

Odpozynek i zmiana otoczenia dodatkowo wpływały na usposobienie Miry. Po weselała, śmiała się teraz chętnie i często.

Stefan był dobrym towarzyszem wszelkich wycieczek i zabaw. Wesoły, szarmancki i czuły, nie pozwalał sobie jednak na zbytne poufałości.

Pobyty w Zakopanem zakończyli wieczorem w góralskiej restauracji w Kirach. Cygańska orkiestra, przyćmione światła na sali, nastrój intymności, jaki zawsze wytwarza wzajemna bliskość na zatłoczonym parkiecie — wszystko to musiało doprowadzić do pierwszych między nimi pocałunków.

W drodze powrotnej do Warszawy pogoda dopisywała. Wprawdzie w chwili wyjazdu mżył kapuśniaczkę, ale już koło Nowego Targu zanikł zupełnie. Kraków powitał dwoje turystów bezchmurnym niebem.

Po zachodzie słońca wpadli na przedmieście stolicy. Jaworski przez cały czas pobytu w Zakopanem nie rozstawał się ze swoim miniaturowym magnetofonem „minifon”, a także z włoską „beretą” — zgrabnym i poręcznym wielkokalibrowym pistoletem. Władał nim doskonale, niejedną godzinę poświęcił na ćwiczeniach w szybkim wyjmowaniu „berety”, odbezpieczaniu jej i przygotowaniu do strzału. W tzw. środowisku zyskał sobie nawet przydomek „kowboj”, bo strzelał z biodra lub z kieszeni i rzadko pudłował. Postanowił teraz, że zanim odwiezie Mirę do jej kawalerki, wstąpi do Mirskiego. Wypyta, jak obecnie sprawy stoją. Trzeba będzie znaleźć jakiś pretekst, aby Mira bez żadnych podejrzeń zechciała poczekać kilkanaście minut w samochodzie. Nadal uważał za niewskazane ujawnić Mirze swój rzeczywisty zawód.

Skierował się w stronę Puławskiej, później skręcił w jakiś zaułek. Dziewczyna spojrzała na niego pytająco.

— Wiesz, Miro — zaczął, kiedy samochód stanął. — Zapomniałem zupełnie, że dziś właśnie miałem wpaść wieczorem do

meo kolegi. Umówiliśmy się przed wyjazdem. Potrwa to jakiś czas, choć oczywiście będę się starał wyrwać jak najprędzej. Jeśli jednak spieszysz się do domu, mogę cię najpierw odwieźć, tyle że nie miałbym już czasu zająć do ciebie na górę.



— Ależ proszę, nie krępuj się, chętnie zaczekam, ile tylko będzie potrzeba — odpowiedziała pośpiesznie Mira, która wiele sobie obiecywała po czekającym ich wieczorze.

Mirski był sam w mieszkaniu.

— No dobrze, że już jesteś — powiedział po przywitaniu. — Czy Mirę odwiozłeś do domu?

— Nie, czeka w samochodzie. Powiedziałem jej, że wskoczę na kilkanaście minut do znajomego.

— Boję się jednak o nią. Uzyskaliśmy informację, że jakiś facet szczególnie się nią interesuje.

— To ważna informacja. Właśnie w tym celu wpadłem do ciebie.

Zaterkotał telefon. Mirski z wyraźną niechęcią podniósł słuchawkę.

— Przy telefonie kapitan Mirski.

— Panie kapitanie — rozległ się w słuchawce głos podoficera z aresztu śledczego. — Ten zatrzymany profesor Tupeczko domaga się widzenia z panem kapitanem. Twierdzi, że rozszyfrował jakieś jagodowe nazwisko.

— Jagodowe nazwisko? Aha — przypomniał sobie fragment przesłuchania profesora w Berlinie.

— Zaraz tam będę.

W pięć minut później Stefan zbiega już po schodach. Mira powitała go uśmiechem.

### **Nocna rozmowa**

— Mam, panie kapitanie, mam to jagodowe nazwisko — profesor z rozradowaną i triumfującą miną nie wszedł, lecz wbiegł

do gabinetu. Funkcjonariusz, który przyprowadził tu profesora, otworzył usta ze zdziwienia i nie wiedział, jak ma się w tej sytuacji zachować.

— Słucham pana, panie profesorze — spokojnie powiedział kapitan, unosząc się z krzesła na przywitanie.

— To rzeczywiście jagodowe nazwisko — powtórzył śmiejąc się profesor. — Malinkę od „malina”, z niemiecką końcówką „e”. Przypomniałem sobie też imię — Elwira. Miałem tę Frau Malinkę zapytać o Fraülein Elzę. Tylko adresu nie mogę sobie przypomnieć.

Kapitan zapisał te dane na świstku papieru. W milczeniu poprosił profesora, by usiadł, machinalnie poczęstował go papierosem. Profesor papierosa przyjął, ale dyskretnie schował do kieszeni — zapewne dla kogoś w areszcie, bo sam nie palił. Mirski, zajęty własnymi myślami, nie zwrócił uwagi na to, co się stało z papierosem.

— Słyszałem już to nazwisko — rzekł ni to do siebie, ni to do profesora. — Zaraz sobie przypomnę.

Ależ tak! Nazwisko „Malinkę” wymieniła kiedyś Mira. Właśnie owej Frau Malinkę tak bardzo spodobała się walizeczka Miry, że aż zapragnęła wejść w jej posiadanie. Mira wspaniałomyślnie ofiarowała jej walizkę i w zamian otrzymała od niej inny neseser.

— Bardzo się cieszę, panie profesorze, że przypomniał pan sobie to nazwisko i hasło — a widząc zdumioną minę profesora, dodał: — Przecież kazano panu zapytać o Fraülein Elzę. To właśnie było hasło. Bardzo cenna dla nas wiadomość i nawet gdyby pan nie potrafił przypomnieć sobie adresu, sądzę, że uda się ustalić go w inny sposób.

— Ale może sobie przypomnę — powiedział profesor zadowolony, że okazał się wreszcie potrzebny.

— Mam wrażenie, panie profesorze —

rzekł w zamyśleniu Mirski — że tym samym poważnie skróci pan swój pobyt w areszcie. Złożę wniosek w prokuraturze o zwolnienie pana. Nastąpi to natychmiast po sprawdzeniu wiadomości pana. To potrwa dwa — trzy dni. Tymczasem serdecznie dziękuję. Jeśli pan sobie życzy, mogę poczęstować kawą.

— Bardzo chętnie, już tyle dni nie miałem w ustach prawdziwej kawy — ucieszył się profesor. <sup>A</sup>. Mirski podniósł słuchawkę i zamówił dwie duże kawy oraz połączenie z Berlinem.

### **Butelka jarzębiaku**

Jaworski — zgodnie z życzeniem Miry — podjechał do „Delikatesów” na Kruczej.

Mira ustawiła Stefana w kolejce po wędliny, sama zaś kupiła pieczywo, kawę, a nawet butelkę jarzębiaku eksportowego. Postanowiła przyrządzić dziś kolację co się zowie.

Po pół godzinie wyszli na parking obła-' dowani torbami.

Stefan przewidująco pozostawił wóz

o kilka domów przed mieszkaniem Miry, wytłumaczył jej też, że będzie lepiej, jeśli do mieszkania wejdą oddzielnie.

— Po co mają nas brać na języki? — mówił.

Mira przystała na to i poszła pierwsza. Za nią w pewnym oddaleniu kroczył porucznik, objuczony sprawunkami, udając, że wcale nie interesuje się idącą przed nim kobietą. Nieznacznie jednak rozglądał się na wszystkie strony, uwagę jego zwróciło kilka kręcących się w pobliżu osób.

Prawdopodobnie nasza obstawa — pomyślał — że też Mirski o wszystko zadbał.

Wszedł na górę.

Przyniesione sprawunki zaniósł do kuchenki. Na widok butelki jarzębiaku, wstawionej już do zimnej wody, gwizdnął cichutko.

Ejże, Stefanku — pomyślał — czuję, że przebiegu tego wieczoru nie opiszesz w raporcie służbowym.

Mira krzątała się po pokoju, usuwając ślady przedwyjazdowego chaosu. Później nastawiła wodę i zaczęła coś w kuchni pitrasić. Stefan siedział przy stoliku i rozglądał się dookoła.

— Mirko! — uchylił kotarkę kuchenki. — To tak na wszelki wypadek: gdyby ktoś do ciebie wpadł dziś wieczorem, nie chciałbym, aby mnie tu widział. Jeśli rozlegnie się pukanie, wsunę się do kuchni. Przez kotarę nie będzie mnie widać.

— Nie spodziewam się nikogo — odpowiedziała Mira. — Ale oczywiście... Wszystko może się zdarzyć.

Stefan wrócił na swoje miejsce, nie siedział tam jednak długo.

— A może byś tak przestał leniuchować i przyszedł mi tu pomóc? Co wolisz — jajka sadzone na szynce czy jajecznicę? Bo dzisiaj robimy taaaką wyżerkę! Jestem głodna!

— Co mam robić? — Stefan wcisnął się do małej kuchenki. — Wolę sadzone.

' — Jak to co? — powiedziała Mira z udanym oburzeniem. — A jarzębiak kto otworzy, może ja?

— O, jarzębiak, nawet eksportowy — Stefan wziął w rękę butelkę. — Czuję, że nigdy żaden jarzębiak nie będzie mi tak smakował, jak pity dziś wieczorem.

### **Nokaut**

Szynka już skwierczała na patelni. Stefan kursował między kuchenką a stołem, ustawiał i rozkładał sztućce. Nakroił też

chleba, nałożył masła do maselniczki. Funkcję pomocnika sprawował z całym zadowoleniem. Mira zaś, rzucając od czasu do czasu okiem na krzątającego się Stefana, uśmiechała się ukradkiem.

Zanim usiedli do stołu, rozległ się dzwonek u drzwi. Stefan spojrział na Mirę i pokazał ręką, że skryje się w kuchni za kotarą. Przeszedł tam szybko, zdążył jednak przykryć serwetą zastawiony stół i wyłączyć płomień pod patelnią i czajnikiem.

Dzwonek powtórzył się. Mira odsunęła zasuwę. W drzwiach stał niemłody już mężczyzna. Mirę speszyła tak późna pora odwiedzin nieznanego, od którego poczuła lekki zapach alkoholu, ale mimo to grzecznie zaprosiła go do środka. Wszedł do pokoju w płaszczu. Nie usiadł mimo

zaproszenia. Porucznik Jaworski tymczasem odbezpieczył pistolet i włączył minifon. Mężczyzna dziwnie spojrział na Mirę.

— A panienska gdzie się podziewała? — zapytał impertynencko.

Mirę aż zatkało. Pomyślała jednak, że to chyba pomyłka i że ten mężczyzna trafił pod niewłaściwy adres.

— Czy nie chodzi panu o kogo innego? Kim pan jest?

Zamiast odpowiedzi usłyszała:

— Pytam poważnie. Gdzie pani była?

— A pana co to obchodzi? I po pierwsze proszę nie mówić do mnie takim tonem.

— Nie mam czasu na grzeczności. Pytam po raz ostatni: gdzie panienska przebywała tak długo poza Warszawą?

— Byłam w górach. Ale może dowiem się wreszcie, o co chodzi?

— Od kiedy to milicję nazywają górami? — rzucił gniewnie. — Dostyc już kłamstw. Niech pani mówi natychmiast,

o co pytali. Co pani im powiedziała? Tylko prędko, bo nie mam czasu. Nie będę się pieścił z panią. Jak trzeba będzie, to porozmawiamy inaczej.

Minifon starannie rejestrował słowa mężczyzny.

— Powtarzam raz jeszcze: byłam w górach. Prywatnie. Z nikim o niczym nie mówiłam.. — Mira zdenerwowała się. — Proszę wyjść z mojego domu!

— Tylko spokojnie, laleczko. Łesz jak pies, a przy tym chcesz mnie jeszcze czarować! Gadaj i to szybko! Już!

— Jak się pan do mnie odzywa? Jest pan pijany, niech pan stąd natychmiast wyjdzie.

— Co? Gadaj mi, ścierwo! Gadaj, bo urządzę cię jak twego amanta. Szybko, już! — wyjął rękawiczki i zaczął wolno nakładać je na ręce.

Mira mimo całej grozy sytuacji była przekonana, że niepożądany gość zamierza opuścić mieszkanie. Ten jednak podsunął pod nos dziewczyny zaciśniętą pięść w rękawicze.

— Gadaj, mówię ci! Śladów nie zostawię! Wszystko zabierzesz ze sobą i nikomu już nie piśniesz ani słowa! — Gwałtownym ruchem silnie pchnął ją na tapczan. Usłyszała jeszcze: — Pójdiesz za Zygmuntem, kłaniaj mu się ode mnie...

— Stefan! — krzyknęła rozpaczliwie.

Porucznik Jaworski w porę powstrzymał rękę nie spodziewającego się niczego mężczyzny. Błyskawicznie wymierzył potężny cios i napastnik wyciągnął się jak długi na podłodze.

Mira drżała. Była blada jak papier. Spojrzała na leżącego.

— Stefan, tyś go zabił! — rzuciła się z płaczem w jego ramiona. — Stefan, czy on będzie żył? Ciebie nie mogą aresztować! Co my teraz z nim zrobimy?

— Niech leży. Zaraz zadzwonię po milicję. Zabiorą go — powiedział spokojnym tonem i podszedł do telefonu.

**Przepraszam, pójdę sobie.**

Mężczyzna ocknął się. Otworzył jedno oko, a potem drugie. Chciał wstać, ale zabrakło mu siły. Chwycony mocno za kołnierz płaszcza i posadzony na krzesło, zapytał półprzytomnie:

— Przepraszam, gdzie ja jestem?

— Jeszcze wśród żyjących — odpowiedział porucznik Jaworski. — Ale mogło się skończyć gorzej.

Mężczyzna z wolna przypominał sobie wszystko, co zaszło.

— Ma pan ciężką pięść! — powiedział. — Rozłożył mnie pan, a ułomkiem nie jestem.

— Ciesz się pan, żeś od razu zemdłał, bo gdyby przyszło jeszcze raz uderzyć, nie pozbierałby się pan tak szybko.

— No, to przepraszam, pójdę już — łudził się, że wszystko skończyło się tylko na uderzeniu.

— Siedź pan. Pójdiesz, ale w dobrym towarzystwie. Może nawet pojedzie pan samochodem...

Mężczyzna spojrział spode łba.

— Ależ to wszystko jakieś nieporozumienie! Zalałem się trochę i zbłądziłem. Oczywiście to głupi kawał, przepraszam, jestem już zupełnie trzeźwy.

Ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła Mira. Weszło dwóch milicjantów w mundurach.

— Mieliśmy stąd telefon, jesteście z pogotowia milicyjnego.

— Tak, stąd telefonowaliśmy — spokojnie mówił porucznik Jaworski. — Ten oto gość usiłował zamordować właścicielkę mieszkania. Na szczęście byłem na miejscu, ale on tego nie wiedział. Rzucił się na nią. Stałem w jej obronie.

Milicjanci wylegitymowali mężczyznę, a potem zapisali dane Miry i porucznika Jaworskiego. Oczywiście nie wiedzieli, z kim mają do czynienia.

Gdy tylko funkcjonariusze wyszli, prowadząc skutego w kajdanki mężczyznę, Mira rzuciła się w ramiona Jaworskiego.

— Miruś — powiedział. — Będiesz musiała przez jakiś czas zamieszkać gdzie indziej. Ktoś jednak dybie na twoje życie. Nie wiem, dlaczego, ale że tak jest, przekonałaś się dziś sama.

— Zrobię, co każesz. Ale kto i czego chce ode mnie?

— Trudno mi wyjaśnić, ale tak jednak -jest. A co z naszą kolacją?

— Ojej! — krzyknęła wystraszona Mira, rzucając się w kierunku kuchni. — Wszystko zostawiłam na ogniu.

Stefan uśmiechnął się. Podszedł do telefonu i zadzwonił do kapitana Mirskiego.

— Słuchaj, Kazik — mówił. — Przepraszam, że dzwonię do domu. Ale muszę się z tobą zobaczyć. Mam coś bardzo ważnego. Zaraz tam będę.

— Miruś — rzekł wchodząc do kuchni. Już śmiało objął i ucałował uszczęśliwioną dziewczynę. — Daj mi prędko jakąś kanapkę, bo jestem głodny jak wilk. Zajadał z apetytem kajzerkę obłożoną plastrem szynki i boczku naraz.

— Muszę wyjść — powiedział, parząc sobie usta piłą pośpiesznie herbatą, a widząc szczerze zmartwioną i zdumioną twarz Miry, dodał szybko. — Niedługo wrócę, aby cię stąd zabrać. Nie możesz tu zostać sama, dopóki nie wyjaśni się, czego chciał ten mężczyzna od ciebie...

### **Zdjąłem niejakiego Zadrasa**

Mirski już czekał na Stefana.

— No, co się stało, że po nocy nie dajesz ludziom spać?

— E, nic takiego — odrzekł porucznik,

jak gdyby istotnie nic nie zaszło. — Zdjąłem niejakiego Zadrasa!

— Wściekłeś się czy co? — zdenerwował się kapitan Mirski. — Kto ci pozwolił? Nawet nie powiadomiłeś mnie o tym! Nie uzyskałeś mojego zezwolenia. Kto tu jest kierownikiem sprawy?

— Kierownikiem byłeś i jesteś ty, ale to była nadzwyczajna sytuacja...

— Przecież rozmawialiśmy przed kilkoma godzinami i nic specjalnego wtedy w planie nie miałem. Ostrzegłbym cię wcześniej, gdyby trzeba było kogoś zdjąć.

— Ale przecież mówiłeś mi, że musimy się liczyć z wizytą kogoś z ich grupy w mieszkaniu Miry. I wizyta doszła do skutku. Masz, posłuchaj, co się stało. To tylko przypadek, że siedzi już w areszcie. Sam tego chciał i wpadł.

Stefan wyciągnął swój minifon i przekręcił taśmę. Po przesłuchaniu całego przebiegu zajścia

kapitan odezwał się już spokojnym głosem.

— Fenomenalne. Więc posadziłeś go. Dobrześ zrobił! Na tej podstawie — wskazał na minifon — prokurator da sankcję. Z której komendy go wzięli?

— Z pogotowia milicyjnego, ale zawieźli jak zwykle na Wolę. Trzeba będzie polecić, aby przekazali go do twojej dyspozycji. I może daj takie polecenie natychmiast. Aha, jeszcze jedno.

— Słucham — nadstawił ucho kapitan.

— Wiesz, chyba się zakochałem... — zwierzył się porucznik.

— No, najwyższy już czas — uśmiechnął się kapitan Mirski. — Nareszcie ktoś cię przytrzyma i dopiero mnie zrozumiesz, kiedy będziesz musiał się tłumaczyć żonie.

— Nie żartuj. To sprawa poważna — przerwał Mirskiemu porucznik. — Ale właśnie dlatego, że się zakochałem, nie wypada mi zabierać jej do swojego mieszkania. Z drugiej strony ona u siebie nie może pozostać ani chwili, dlatego prosiłem cię o tę nocną wizytę.

— No dobrze, co proponujesz?

— Trzeba będzie wyszukać dla niej jakieś zastępcze locum, dopóki sprawa nie wyjaśni się całkowicie. Jeśli ktoś ją śledził i chciał unieszkodliwić, a dowody tego mamy, to na pewno nie działał sam i jeszcze wykończą dziewczynę.

Mirski zastanawiał się czas jakiś.

— Wiesz — powiedział wreszcie. — Pogadam z Jolą. Chwilowo wolny jest pokój babci, bo wyjechała na miesiąc do drugiej córki. Mira mogłaby tymczasem tam zamieszkać. Jola na pewno się ucieszy, będzie miała przynajmniej do kogo usta otworzyć. A i ty częściej do nas wpadniesz. Tylko tę ewentualną przeprowadzkę można by załatwić dopiero rano.

— No, oczywiście — zgodził się Stefan. — Pójdę do niej i wytłumaczę. Bardzo ci jestem wdzięczny. Wiem, że będzie pod dobrą opieką.

Po chwili porucznik w umówiony sposób pukał do drzwi Miry.

### **Nieoczekiwane spotkanie**

Kapitan Mirski otrzymał zezwolenie prokuratora na zatrzymanie Zadrasa. Przed południem jednak postanowił jeszcze raz przesłuchać Krystynę Słoniewską.

Była wyraźnie zdenerwowana. Poprosiła o papierosa. Kapitan podszedł do szafy. Z dużej koperty wysypał na biurko kilkanaście zdjęć.

— Proszę, może pani zechce przejrzeć te zdjęcia. Mam wrażenie, że odnajdzie tam pani swoich znajomych.

Słoniewska zaczęła machinalnie przerzucać odbitki. Kapitan siedział i obserwował jej reakcję.

Oto zdjęcie Zadrasa. Przyjrzała mu się uważnie i, mrugając powiekami, nerwowo potarła czoło. Zanim zdążyła odłożyć fotografię, kapitan przerwał milczenie.

— Znajomy?

Krystyna spokojnie odłożyła zdjęcie i spojrzała na Mirskiego. Była już opanowana.

— Nie! Przystojny po prostu. Lubię takich szpakowatych...

— Oni również zachwycają się panią. Szczególnie ten.

— Nie znam tego człowieka, nie widziałam go nigdy.

— Okazuje się jednak, że pamięć kobiet jest nadzwyczaj krótkotrwała.

Krystyna udawała, że nie wyczuła żadnej aluzji w ostatnich słowach kapitana i obojętnie oglądała pozostałe fotografie, po czym zwróciła cały plik Mirskiemu.

— Znajomych tu nie ma.

Oczywiście poznała Zadrasa. Wprawdzie

nie mieli ze sobą zawodowych kontaktów, byli niezależni, na równorzędnych funkcjach, ale w

ciągu kilkuletniej pracy niejednokrotnie zetknęli się ze sobą.

Kapitan nie powracał już więcej do osoby Zadrasa.

— Myślę, że dość już tej zabawy w kotka i myszkę! — powiedział ostrzejszym niż zazwyczaj tonem. — Wróci teraz pani do swojej celi. Radzę się zastanowić i wszystko przemyśleć. Udawanie niewinnej na nic już się nie zda. Nasza cierpliwość również się wyczerpuje!

Osobiście wyprowadził Krystynę Słoniewską na korytarz. Z przeciwnej strony posuwał się w jej kierunku Jan Zdras w asyście plutonowego milicji. Spojrzała na aresztowanego, Zdras gwałtownie odwrócił głowę. Dawał w ten sposób znak, że nie zna Krystyny.

Mirski przekazał Słoniewską strażnikowi, sam zaś uśmiechnął się pod wąsem.

### **Kto jest szefem?**

W gabinecie kapitana Mirskiego czarno było od tytoniowego dymu. Odprawa ciągnęła się już kilka godzin, brało w niej udział kilkunastu oficerów.

Kapitan Mirski krótko zreferował sprawę, poinformował o aresztowaniu Zadrasa, który usiłował zamordować Mirę Łazów- nę. Przytoczył także sporo dowodów na to, że Zdras maczał palce w sprawie oznaczonej kryptonimem „Złote kółka”. Następnie przedstawił długą listę podejrzanych, którzy wprawdzie są jeszcze na wolności, ale pozostają pod ścisłą obserwacją milicji. Postępowanie podejrzanych może dostarczyć wielu materiałów i dowodów. Mirski poinformował także zebranych, że Berlin przekazał mu nowe materiały, ale w dalszym ciągu nie mogą ustalić miejsca zamieszkania i pobytu Elwiry Malinkę, u której zatrzymała się Mirka.

— Czy z posiadanych materiałów można wnosić, że Zdras jest szefem gangu? — zapytał Jaworski.

— Nie mamy na to dowodów — odpowiedział po namyśle Mirski. — Nie przesłuchałem jeszcze Zadrasa. Sfingowałem tylko „przypadkowe” spotkanie na korytarzu Zadrasa i Słoniewskiej. Jestem przekonany, że się poznali. Pozostawiłem ich na razie w spokoju, niech trochę „skruszeją”. Nie wiem, czy Zdras jest głównym prowodyrem, w każdym razie mam uzasadnione podejrzenie, że jest jedną z ważniejszych figur.

Postanowiono, w związku ze zbliżającym się finałem operacji „Złote kółka”, zwiększyć liczbę osób odkomenderowanych do tej sprawy, a także w miarę możliwości przyspieszyć tempo śledztwa.

### **Rozważania w samotności**

Konwojent wprowadził Jana Zadrasa do celi i zdjął mu z rąk kajdanki. Była to wąska cela. W rogu stała prycza z kocem, u wezglowia miniaturowa poduszecz- ka.

Po chwili wahania Zdras zdecydował się usiąść na pryczy. Była twarda, znacznie twardsza od jego wygodnego tapczanu, który pozostał w domu. Pomyślał o tym z goryczą.

Spotkanie z Krystyną Słoniewską wprowadziło go w jak najgorszy humor. Tego się nie spodziewał. Wprawdzie wszystko wskazywało na to, że Krystyna została zatrzymana, ale Zdras, podobnie jak Witold, nie dopuszczał do siebie tej myśli.

— A więc tak stoją sprawy — rzekł do siebie. — To zasadniczo zmienia stan rzeczy. Trzeba szybko zastanowić się nad planem dalszego postępowania, bo łada moment mogą mnie wezwać na przesłuchanie.

Zdawał sobie sprawę, że znajduje się już w areszcie centrali, więc zarzuty, z jakimi się spotka, są raczej najcięższego kalibru.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Krystyna zdradziła się, może powiedziała nawet nie tylko o działalności swojej, ale i jego czy innych...

Trudno się teraz będzie wypierać, zwłaszcza że istnieje możliwość konfrontacji. Zresztą jeśli nawet Krystyna nie sypała dotychczas, robi to teraz. Widziała przecież, że z nim sprawa jest skończona i mogła podejrzewać, że on również nie będzie milczał. To logiczne. Zadrasowi nie pozostaje więc nic innego, jak przyznać się. Do zabójstwa Zygmunta Szorskiego nie przyzna się. To byłby najcięższy zarzut. Ale przecież śladów nie zostawił. Krystyna również nie ma pojęcia ani o śmierci Zygmunta, ani nawet o ich znajomości. Nie spotykali się wcale.

A więc usiłowanie zabójstwa Mirosławy Łazówny. Nie ma konkretnych dowodów. Będzie uparcie twierdził, że to zwykły przypadek. Żył przecież spokojnie i z nikim nie zadzierał. Tego dnia po prostu upił się i narozrabiał jak pijany zajac. Użyje nawet zwrotu: chuligański wybryk, postanowił, ale nic więcej.

Będzie także musiał przyznać się do przemytu i organizowania przerzutów. No, cóż... Był po prostu wykonawcą, nie miał nic wspólnego z szefem. Pracował za pieniądze. To oczywiście przestępstwo, ale znowu nie takie wielkie. Odpowiedzialny za całość jest kto inny. On był zaledwie nikłym pionkiem w rękach szefa.

Zresztą nie o wszystkim powie i nie wszystko potrafią mu udowodnić. Przecież jeszcze inni pozostali na wolności. Kiedy stwierdzą, że nie zjawił się na spotkanie, zaczną coś robić, aby mu ulżyć w biedzie.

Z apetytem zjadł nader skromny obiad i wyciągnął się na pryczy — spokojny już — z przeświadczeniem, że nakreślony plan obrony jest słuszny.

### **Planowane spotkanie**

— Personalia pana znam, panie Zadras — zaczął kapitan. — Moje nazwisko Mirski. Będę prowadził śledztwo w wiadomej panu sprawie. Mamy o panu sporo wiadomości i pan wie o tym doskonale. Będzie pan początkowo mówił o tym, co pan chce powiedzieć. Daję panu wolną rękę. Proszę zaczynać!

Zadras spojrział przenikliwie na Mirskiego. Oceniał go błyskawicznie. Miał już praktykę. Zrozumiał, że przeprawa z kapitanem nie będzie łatwa i trzeba będzie dobrowolnie powiedzieć więcej, niż początkowo zamierzał.

— Dobrze, powiem, co wñem, panie kapitanie — zaczął nieśmiało. — Od czego mam zacząć?

— Od czego pan chce.

— Opowiem, w jaki sposób wlałem w handel dolarami. Namówił mnie do tego Zygmunt Szorski...

— ...i dlatego musiał zginąć — dokończył kapitan Mirski.

— To pan kapitan wie o jego wypadku?

— Oczywiście.

— Ponieważ nie ma go wśród żywych, muszę teraz sam ponosić odpowiedzialność za jego i za swoje czyny.

— Nie! — przerwał kapitan. — Za umarłych nikt nie odpowiada, odpowiada się jedynie za ich śmierć. Ale o tym później.

— To prawda, ale ja nie znam ludzi, których on znał.

— Niech pan mówi dalej.

— Za pośrednictwem Zygmunta Szorskiego przerzucaliśmy do Berlina banknoty dolarowe, a z Berlina otrzymywaliśmy dolarowe monety w złocie. Interes szedł dobrze. Szorski organizował również zbyt, a ja rozliczałem się z tymi osobami za pośrednictwem Szorskiego. Żałuję tego. Robiłem to na prośbę Szorskiego. W związku z jego śmiercią zostałem zrujnowany. Wiele straciłem.

Mirski nie przerywał naiwnych wyjaśnień Zadrasa. Sporządził protokół i powiedział:

— Mówił pan, co pan chciał! Następnym razem trzeba będzie mówić o tym, co nas interesuje.

Radzę się przygotować.

### **Krystyna się załamuje**

Kiedy tego popołudnia wprowadzono do gabinetu Krystynę Słoniewską, wyglądała mizernie, była zdenerwowana.

— Widzę, że czuje się pani niezby: dobrze — powiedział kapitan. — Może zamówić kawę? Nie ma sensu przedłużać tych jałowych, męczących rozmów. Radzę skończyć z wykręcaniem się, co to pani da?

Krystyna ucieszyła się.

— Och, kawa na pewno dobrze by mi zrobiła. A w ogóle to mam już dość tego wszystkiego. Powiem dziś, co wiem.

— Dobrze, niech pani mówi. I jeszcze jedno: Jakże znalazła pani znajomego czy raczej współnika? Zmienił się bardzo?

— Wspólnik może, ale nie mój. Podejrzewacie mnie o zbyt wiele — rzuciła rozdrażniona Krystyna.

— Nie będą już przeszkadzał.

Przyniesiono kawę. Słoniewska chciwie

wypiła kilka łyków, uspokoiła się nieco i zaczęła:

— Z Zadrasem miałam pracować. Przed wyjazdem na urlop, który nie doszedł do skutku, szef wspominał mi o tym. Ale przeszkodziliście.

Mirski słuchał uważnie. Więc to nie Zadras jest jej szefem.

— Wyznaczono mi Łódź. Miałam sporo kontaktów, przywoziłam złoto, odbierałam banknoty .

— Dawno pani pracuje w tej branży?

— Jakieś piętnaście lat...

— Czy Jan Zadras też tak długo?

— Tego nie wiem. Znam go od wielu lat, ale nasz kontakt był bardzo luźny. Nie interesował mnie wcale.

— Nawet jako mężczyzna?

— Nawet. To nie mój typ.

Krystyna rozgadała się. Opowiedziała

sporo o szefie, nie wymieniając jego nazwiska, myślała bowiem, że jest ono kapitanowi znane.

Mirski nie chciał się zdradzać, że istnieją jakieś luki w jego materiałach. Okazuje się, że szef był bardzo ostrożny.

— Szef był przekonany, że wszystko będzie grało. Ale dotychczasowe zarobki widocznie mu nie wystarczały i na gwałt rozszerzał interes. Wydaje się, że tego było za wiele i to go zgubiło.

Mirski uśmiechnął się. Krystyna spojrzała na niego uważnie.

— Panie kapitanie, to on też mówi?

— Mówi, już od dawna. Nawet od dzieciństwa. — Mirski uśmiechnął się szeroko.

— Dlaczego pan się śmieje? Pytałam

o niego. Myślałam, że on milczy, a on...

— Tego nie powiedziałem, pani Krystyno.

— To wynika z pana zachowania.

Poprosiła jeszcze o kawę. Kiedy wypiła,

Mirski poradził, aby odpoczęła i coś zjadła. Zapowiedział, że wezwie ją później na dalsze



przesłuchanie.

### **Zadras mięknie**

Mirski uważnie przeglądał notes Zadrasa. Właściciel notesu siedział po przeciwnej stronie biurka. Pot wystąpił mu na czoło.

Kiedy w chwilę potem kapitan spokojnie odłożył notes, a wziął do rąk kilka zdjęć i przyglądał się im czas dłuższy, Zadras zdenerwował się jeszcze bardziej. Nerwowo łamał palce. Przeciągającą się ciszę przerwał wreszcie Mirski.

— Znamy się już trochę, pogadajmy jak starzy znajomi.

— O czym mamy mówić?

— O sprawach, które dotyczą pana

i pana współpracowników — tu kapitan celowo wymienił sporo faktów dotyczących działalności Zadrasa i innych. Zadras słuchał wystraszony.

— Wiem, że muszę rozliczyć się z wielu spraw — wyjąkał. — W tej chwili mam w głowie chaos. Wszystko mi się miesza. Gdyby można było, najchętniej skończyłbym ze sobą. Nawet jeszcze dzisiaj. Tak byłoby najlepiej.

— Głupstwa pan gada! — przerwał kapitan. — Trzeba być konsekwentnym, a w swoich obliczeniach zawsze brać pod uwagę skutki. A więc do rzeczy.

— Czy nie uważa pan, panie kapitanie — zaczął wolno Zadras — że należałoby zacząć od...

— Od szefa — wtrącił Mirski.

— Od szefa? Tak pan kapitan mówi? To trudniejsza sprawa.

Zadras pochylił głowę, ręce zaczęły mu drżeć, nerwowo wyjął chusteczkę i otarł spocone czoło.

Kapitan bacznie obserwował aresztowanego. Wyjął papierosa, zapalił. Zadras milczał. Przemógł się jednak.

— Mam propozycję — zaczął cichym głosem. — Nie wiem tylko, czy zgodzi się pan na nią.

— Słucham.

— Ciężko mi dzisiaj mówić. Zwłaszcza że trafił pan w najczulszy punkt, w sprawę szefa. Boję się, że będę nie dość obiektywny, a nie chciałbym ani na jotę pomniejszać mojej winy. Jeśli pan pozwoli, to wrócę do celu, uspokoję się trochę, przemyślę wszystko i przygotuję się do złożenia zeznań.

— Zgoda! Mnie się wcale nie spieszy — obojętnie powiedział kapitan. — Aha, ma pan pozdrowienia od Krystyny Słoniewskiej.

— Widziałem ją na korytarzu. Ale to oddzielny rozdział sprawy.

### **Adres Frau Malinke**

Mira pilnie przygotowywała się do egzaminów. Mieszkanie było bardzo spokojne, żadnych hałasów i krzyków. Dzieci gospodarzy były dobrze wychowane, lubiła się z nimi bawić, a kiedy Jola wychodziła do miasta po sprawunki, Mira chętnie podejmowała się opieki nad maleństwem.

Z Jolą szybko znalazły wspólny język, polubiły się. Często spędzały długie wieczory na rozmowach, razem słuchały radia i oglądały telewizję. Kapitan Mirski jak zwykle był tylko gościem w domu. Mira rzadko opuszczała mieszkanie. Zresztą Stefan uprzedził ją, że lepiej będzie, jeśli wychodzenie z domu tymczasem ograniczy do minimum. Wciąż bowiem sytuacja nie była jasna. Stefan wpadał czasami, dwa razy wyciągnął ją na wieczorny seans do kina. Gdy przychodził w odwiedziny do Miry, pani Jola dyskretnie wychodziła z pokoju.

W czasie jednej z rozmów zaczęli wspominać swoje przeżycia w Berlinie. Mira zwierzyła się, że już wtedy przystojny Stefan wpadł jej w oko.

— Widywaliśmy się zbyt rzadko — żaliła się. — Właściwie to moja wina, ściślej okoliczności, w jakich się znalazłam. Frau Malinkę, u której mieszkałam, zapowiedziała już na wstępie, abym — jeśli

mam się już z kimś spotkać — umawiała się w kawiarni lub restauracji.

— A gdzie mieszkałaś? — zapytał od niechcienia Stefan.

— Nie pamiętasz? Przecież odprowadzałeś mnie do domu. Przy ulicy Krone 11...

— A rzeczywiście, zupełnie o tym zapomniałem.

Wychodząc porucznik Jaworski zamienił kilka słów z kapitanem Mirskim, który właśnie wrócił do domu.

— Słuchaj, Kazik — rzekł zniżonym głosem — Elwira Malinkę mieszka w Berlinie, przy ulicy Krone 11. To wiadomość od Miry. Kobieta, u której się zatrzymała, nosiła właśnie takie nazwisko.

Co za zbieg okoliczności?

### **Rysa na ścianie**

Zadras wykręcał się na kolejnych przesłuchaniach, jak mógł. Mirski cierpliwie słuchał o rzekomym szefie, Zygmuncie Szorskim, który wszystkiemu był winien. Kiedyś jednak gwałtownie przerwał:

— No, dość mi pan naopowiadał tych bajeczek z tysiąca i jednej nocy. Jeśli pan uważa, że jestem taki naiwny, to jest pan w błędzie. A propos. Prosiła pana pozdrowić Frau Elwira Malinkę z ulicy Krone 11. Dziękowała za ładne walizeczki. Teraz już ich nie używa.

Zadras zaniepokoił się.

— Jeśli nie chce pan przejść do konkretów — powiedział gniewnie kapitan — to ja przejdę.

Otworzył szafę, wyjął niewielkie pudełeczko i położył na biurku.

— Znał pan Szorskiego? Od ilu lat?

— Jakies trzy, cztery — niepewnie bąkał Zadras.

— Kłamiesz! — przerwał kapitan. — Znałeś go już od 2 maja 1949 roku. Podarował ci wtedy jako swemu przyjacielowi ładny prezent. Mamy go u siebie.

Zadras bladł i czerwieniał na przemian, wlepiwszy oczy w przedmiot leżący na biurku. Była to zapalniczka, którą pamiętnego dnia zgubił w samochodzie Zygmunta Szorskiego. Jedyne ślad jego działalności.

— Na tej zapalniczce widnieją inicjały „J. Z.” I dalej napis: „Od Zygmunta” — ciągnął Mirski, bacznie obserwując zachowanie się Zadrasa. — Jest nawet dokładna data.

Zadras był już u kresu wytrzymałości.

— Szorski stał się wam niewygodny, zbyt wiele wiedział, trzeba go było zlikwidować — kontynuował spokojnie kapitan. — I wcale nie „twarde” stały się

przyczyną jego śmierci, tylko ostatnia wpadka i to, że zbyt wiele wiedział o tobie, Zadras. Czyli...

— Czyli zabiłem Zygmunta, a teraz kolej na ciebie! — krzyknął rozpaczliwie Zadras, gwałtownym ruchem chwycił stojącą na biurku ciężką popielniczkę i rzucił nią w Mirskiego.

Kapitan zrobił unik i popielniczka wylądowała na ścianie, pozostawiając głęboką rysę.

Zadras zwałił się całym ciałem na blat biurka i zaczął spazmatycznie szlochać. Po kilkunastu minutach otarł rękawem oczy i rzekł pochlipując:

— Przepraszam pana, panie kapitanie. Nie mogłem opanować nerwów. Ale teraz jest mi już wszystko jedno.

— Byłem przygotowany na atak z twojej strony, Zadras. Ale nawet gdybyś trafił, najwyżej byłbym kontuzjowany, śledztwo zaś poprowadziłby ktoś inny. Już i tak zbliżamy się do końca...

Zadzwoił do sekretarki i poprosił

o przybycie pielęgniarki z kroplami na uspokojenie.

W chwilę potem kapitan Mirski powiedział:

— No, to teraz proszę dokładnie przedstawić całą sprawę.

Zadras zapalił papierosa i zaczął mówić, słowo za słowem, utrwalane przez wolno obracający się magnetofon, ustawiony na biurku kapitana.

### **Nowa przesyłka**

Do gabinetu wszedł Stefan Jaworski. Spojrzał na kapitana Mirskiego, który kończył właśnie przeglądanie teczek z materiałami, a potem rzucił okiem na ścianę.

— Co za rysa?

— Ano, miałem taką sobie rozmówkę z panem Zadrasem. Nie wytrzymał nerwo wo. Machnął we mnie popielniczką. Ale byłem ostrożny.

— Jak mogłeś zostawić taki ciężki przedmiot w zasięgu jego ręki? To przecież bandyta. Znam go, widziałem w akcji

— denerwował się porucznik Jaworski.

— Tak. Trochę za późno o tym pomyślałem — roześmiał się Mirski. — No, ale przecież my zawsze ryzykujemy. A tym razem ryzyko opłaciło się. Pan Zadras śpiewa o wszystkim, q czym tylko wie... chociaż wiele faktów stara się zmienić.. Jest już ugotowany na cacy. Posłuchaj taśmy...

— Poczekaj, Kazik. Nie mam teraz czasu, wpadnę później. Właśnie otrzymałem wiadomość, że nadchodzi nowy transport „twardych” do Wrocławia. Muszę tam być za kilka godzin. Czy mogę wziąć wóz z twoim kierowcą, Lipskim?

— Oczywiście, tylko uważajcie.

— Aha, chciałem cię jeszcze zapytać, czy berliński adres się zgadza?

— Wyobraź sobie, że tak! Miałem już z Berlina wiadomość. Kobiety nie były tam meldowane, ale pozostawiły sporo śladów. Policja już jest na ich tropie. Lada dzień znajdą się w pudle. Zarówno Malinkę jak i ta Elza. Profesora zwolnił już prokurator. Odsiedział chłop swoje.

— No, to bywaj. Zajdę po powrocie.

### **Za późno**

Wysłanniczka szefa domyślała się, że posłannictwo, które ma jej przynieść aż dziesięć tysięcy złotych zysku, nie należy do legalnych ani bezpiecznych. Zachowywała więc daleko idącą ostrożność zarówno podczas jazdy koleją, jak i we Wrocławiu. Na wszelki wypadek wzięła na Dworcu Głównym taksówkę, wysiadła na Placu Solnym, tam minęła jakąś małą uliczkę, po czym wskoczyła do odjeżdża

jącego tramwaju. Dojechała na Krzyki. Tam znowu wsiadła do taksówki, kazać szoferowi zawrócić i zawieźć się pod wskazany adres.

Weszła na górę. Nacisnęła guzik dzwonka. Cisza. Nacisnęła jeszcze raz. Dopiero po trzecim dzwonku usłyszała szmery.

— Kto tam?

Półgłosem wymieniła hasło.

Drzwi się otworzyły i ktoś wciągnął ją do środka. Starszy pan pośpiesznie przekręcał klucz w zamku.

— Dobry wieczór — powiedziała jeszcze raz i znowu wymieniła hasło.

Starszy pan coś burknął, a potem dodał.

— Pani pierwszy raz na tej linii?

Kobieta potwierdziła, ciekawa, co będzie dalej.

— Niech pani bierze tę przesyłkę i pryska! Proszę powiedzieć szefowi, że gliny mi depczą po piętach. Muszę się wyłączyć na jakiś czas. Proszę to dobrze schować — podał jej paczuszkę niewielką, ale ciężką. — Wyprowadzę panią piwnicami, a potem wyjdzie pani przez następną bramę na ulicę.

Kiedy prowadził ją piwnicami, ustawicznie przynaglając do szybszego marszu, wyjaśnił, że nie może ona wieźć tej przesyłki do Gdańska, tylko wprost do Warszawy pod wskazany adres.

— Niech pani zapamięta ten adres

i hasło: „Przywiozłam lekarstwo dla chorego”. Tam już wiedzą, co dalej robić. Przykro mi, że okazałem się niegościnnie, co nie leży w mojej naturze, ale cóż robić?

Starszy pan wrócił do siebie tą samą drogą. Gdy już był w mieszkaniu usłyszał dzwonek. Teraz spokojnie mógł podejść do drzwi i wcale się nie spieszył, słysząc:

— Tu milicja! Proszę otworzyć:

W drzwiach stał porucznik Jaworski. Kobiety, o której mieli wiadomość, w mieszkaniu już nie było...

### **To nie mój szef**

Kapitan Mirski był ustawicznie zajęty. Grono zatrzymanych w związku z operacją „Złote kółka” powiększało się. Znalazł wreszcie czas na przesłuchanie Krystyny Słoniewskiej.

— Dawno nie rozmawialiśmy ze sobą — zaczął. — Wiemy już wiele. Proszę się zapoznać z wyjaśnieniami pani szefa — Zadrasa.

— To nie mój szef i nigdy nim nie był. Ale Świnia, o sobie mówi najmniej. Gdybym wiedziała!

— Więc któż jest pani szefem? — zapytał zdziwiony Mirski. O tym, że nie był nim Szorski, wiedział już od dawna. Podejrzewał Zadrasa.

— Przecież Zadras wie lepiej niż pani, to taki prawdomówny, rzetelny, poważny dżentelmen... — ironizował kapitan.

— Oj, jaka byłam głupia! — wybuchnęła Krystyna.

— Proszę spokojnie wyjaśnić całą sprawę, uwzględniając szczególnie szefa. Kawy?

— O kawę bardzo proszę, a może i o papierosa... Moim szefem... ale zaraz... zacznę, jak to było.

Tuż po wojnie znalazłam się w trudnych warunkach materialnych

i spotkałam znajomego sprzed wojny, którego widywałam w czasie okupacji. Zaproponował mi dobrze płatną posadę. Miałam przewozić „twarde” do Łodzi i tam wymieniać na banknoty dolarowe. Nic innego nie robiłam. Przez moje ręce przepłynęło dużo pieniędzy.

Zaciągnęła się głęboko dymem z papierosa.

— Początkowo nie zdawałam sobie sprawy z odpowiedzialności, jaka mnie czeka w razie wsypy, a kiedy zorientowałam się, sprawy zaszły zbyt daleko, aby się wycofać.

Kapitan nie przerywał. Krystyna dokładnie opowiadała o technice obrotu dolarami, a potem zaczęła mówić o szefie.

— Poznałam go przed wojną w okolicach Grodna. W 1939 roku przyjechał w mundurze podchorążego. Podkochiwał się w przyjaciółce mojej starszej siostry. Na front stawił się w stopniu podporucznika. Któregoś dnia w czasie okupacji pojawił się w Warszawie. Wyjaśnił, że dostał przepustkę z oflagu. Drugi raz spotkałam go w Warszawie w roku 1942. Był kelnerem w „Bristolu”, knajpie tylko dla Niemców. Znał się z Niemcami i nas zapraszał do tej restauracji. Już wtedy straciłyśmy do niego zaufanie. Później aresztowano braci jego narzeczonej. Zobowiązał się pomóc, wziął nawet grubszą gotówkę. Bracia jej zginęli w obozie koncentracyjnym. Mieszkał przy placu Unii Lubelskiej i to również wiele o nim mówiło. Tuż przed powstaniem ślad po nim zaginął. Pojawił się znowu na początku 1945 roku. Twierdził, że znowu był w obozie. Miał jakieś tam zaświadczenie z PUR-u.

Krystyna przerwała, aby napić się kawy.

— Założył sklep. Interes szedł dobrze.

I wówczas go spotkałam. Początkowo był opryskliwy i nieufny. Kiedy jednak dałam mu do

zrozumienia, że wiem o nim dużo od Zuzanny, zmienił front i zaproponował mi współpracę.

Magnetofon skrzętnie notował. Mirski wypytywał dokładnie o szefa, Witolda Nieraja-Donieckiego, o jego cechy osobiste, o wygląd zewnętrzny, zamiłowania, zainteresowania itp. Na zakończenie zaś powiedział, że niedługo znów poprosi ją do siebie dla złożenia dalszych wyjaśnień.

Gdzie mieszkał szef, Krystyna nie wiedziała. Spotykali się zawsze na mieście i to w różnych miejscach.

### **Janette**

Na peronie przygranicznego dworca stało kilku cywilów oraz oficer WOP-u. Rozmawiali wesoło. Przed chwilą dostali wiadomość o zbliżaniu się pociągu i o pasażerze w błękitnym sweterku, czarnej spódnicy, białym płaszczu, z białą torebką opatrzoną inicjałami. Porucznik Jaworski zajął miejsce w tym samym co ona przedziale. Po przyjeździe na dworzec w Warszawie wywiadowcy przejęli opiekę nad pasażerką, uwalniając na moment porucznika. Kobieta pojechała do „Grand Hotelu”. Załatwiła niezbędne formalności i szybko znalazła się w swoim pokoju.

Po chwili rozległo się dyskretne pukanie. Kiedy otworzyła, na progu ujrzała elegancko ubraną kobietę w towarzystwie dwóch mężczyzn. Nie czekając na zaproszenie weszli oni do środka.

— Czym mogę państwu służyć? — zapytała po francusku.

— Jesteśmy z Milicji Obywatelskiej, oto nakaz rewizji — oświadczył lakonicznie jeden z funkcjonariuszy. Mężczyźni wyszli na korytarz. Lidka, oficer MO, sprawnie i szybko przeprowadziła rewizję osobistą. Wynik był rewelacyjny. Ściśle dopasowany gorset ważył kilka kilogramów złotych monet. Spisano protokół

i panią Janette — bo tak brzmiało jej imię — odwieziono do Komendy MO.

W pokoju pozostała jedynie Lidka. Rozgościła się, włączyła radio, zapaliła chesterfielda. Paczkę papierosów rzuciła niedbale na stół. Spojrzała na torebkę z inicjałami „JF” i spokojnie zaczęła przeglądać jakieś zagraniczne czasopismo.

Do pokoju wśliznął się bez pukania elegancki mężczyzna. Obrzucił wzrokiem siedzącą na fotelu kobietę, dostrzegł amerykańskie papierosy na stole i leżącą obok białą torebkę z inicjałami. Teraz już łamaną francuszczyzną, która przypominała raczej język węgierski, wymienił hasło.

— Słucham pana — odezwała się „Janette”.

— Jestem „Astoria” — przedstawił się mężczyzna — proszę o...

— Chciałam najpierw zobaczyć się z szefem! — przerwała Lidka.

— Szef na kilka dni wyjechał z Warszawy. Przysłał mnie. Ile pani przywiozła?

— Zbędne pytanie. Tyle, ile było gotowe.

— Mogę zobaczyć?

— Proszę — odpowiedziała Lidka, podając „Astorii” monetę dwudziestodolarową.

Udawał, że ogląda cechy charakterystyczne monety.

Kpi sobie ze mnie, czy co? — myślał gorączkowo. — Po co ta komedia?

Lidka musiała grać na zwłokę.

— W co pan to zabierze? — zapytała.

„Astoria” był zły. Spieszył się, a ta

marudziła. Już chciał powiedzieć coś cierpkiego, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. Lidka podeszła do aparatu.

— Słucham — odezwała się czystą polszczyzną.

„Astoria” zerwał się jak oparzony. Wyciągnął z kieszeni pistolet i odskoczył w bok pod ścianę.

W tej samej niemal chwili do pokoju wpadło dwóch młodych ludzi. Jeden z nich ciosem w

nadgarstek wybił Astorii pistolet i błyskawicznym zwchytem zwałił go z nóg.

### **Astoria**

— A, znowu pana widęę, panie Astoria! — zaśmiał się kapitan Mirski, gdy konwojent wprowadził zatrzymanego.

— Jaki Astoria? — oburzył się tamten.

— Pamiętasz Sopot? Spotkaliśmy się tam przed kilku laty. Masz, okazuje się, krótką pamięć!

— Teraz sobie przypominam — przyznał Astoria. — Zmienił się pan, panie kapitanie, zmienił...

— Ja się zmieniłem, oczywiście. Postarzałem się trochę! A ty nic — ani się nie postarzałeś, ani...

No, ale mam nadzieję, że jako starzy znajomi będziemy mówili ze sobą szczerze? Dobrze?

— Nie ma innego wyjścia — smętnie odparł Astoria. — Znam pana dobrze

i wiem, że wykręty nic nie pomogą. Będę gadał.

— Nie przypuszczałeś, że znowu wpadniesz w moje ręce?

— Słowo daję, panie kapitanie! Gdybym przypuszczał, to po wyjściu z „chlew-ka” nie dałbym się namówić na robotę z szefem i nie siedziałbym znowu. Ale jak teraz wyjdę, to się już uspokoję. Ta droga na nic!

— Kto cię namówił? — zapytał zaintrygowany kapitan.

— Szef!

— Gdzie mieszka?

— Nie wiem, spotykaliśmy się na mieście.

— Nie kłamiesz?

— Nie mam już po co kłamać.

— Nazwisko?

— Manusiński, pseudo: Astoria.

— Nie twoje, ciebie znam, szefa!

— Szefa? Nie wiem!

— Nie wiesz?...

— Pan kapitan rozumie, że tacy nie zawsze...

— ...są takimi, za których się nawet podają — dokończył kapitan.

— No oczywiście, rozumiemy się, o co chodzi — rzekł Astoria, mrugając porozumiewawczo okiem.

To na chwilę zaniepokoiło Mirskiego. Położył przed Astorią kilkanaście zdjęć. Aresztowany przeglądał odbitki z uwagą, wymienił kilka osób, w tym Zadrasa i Słoniewską, ale podobizny szefa nie znalazł.

— Nie ma go tu! Ten się nie lubił fotografować. To szczwany lis — stwierdził zwracając fotografię.

### **Przed finiszem**

Porucznik Jaworski i kapitan Mirski spieszyli na odprawę tym razem u pułkownika Kalety. Było tu kilku wyższych oficerów milicji i wszyscy oficerowie operacyjni.

Pułkownik Kaleta poinformował, że operacja „Złote kółka” zbliża się do pomyślnego finiszu i pozostaje najważniejsza rzecz — ująć nieuchwytnego dotąd, ukrywającego się poza Warszawą, szefa całej grupy.

Referując szczegółowo sprawę kapitan Mirski stwierdził, że znany jest rysopis szefa, nie udało się jednak zdobyć jego zdjęcia. Zgodnie z zeznaniem Astorii szef grupy miał ostatnio przebywać w Gdańsku i Sopocie. Astoria rozmawiał tam z nim telefonicznie. Inne dochodzenia pozwoliły ustalić, że szef posługiwał się szarym samochodem marki Opel z warszawskimi znakami rejestracyjnymi.

Poszukiwania samochodu w Trój mieście nie dały rezultatu.

— Jak wynika ze sprawozdania — wtrącił porucznik Jaworski — Astoria otrzymał od szefa konkretne polecenie

i o jego wykonaniu winien był natychmiast zameldować szefowi. Czy meldunek ten miał być złożony w określonym terminie?

— Tak, w ściśle określonym terminie — odpowiedział Mirski. — Tego samego dnia o godzinie dwudziestej pierwszej, w drugim zaś terminie o godzinie dwudziestej trzeciej. Telefonicznie, z przywołaniem z poczty. Popelniliśmy duży

błąd odkładając przesłuchanie Astorii na dzień następny. Straciliśmy realną szansę zatrzymania szefa w urzędzie pocztowym w Gdańsku.

— Ten cały szef to przebiegła sztuka! — stwierdził porucznik Jaworski. — Jak wnoszę z jego dotychczasowego zachowania się wobec częstych wpadek jego podwładnych i tym razem zapewne brak wiadomości od Astorii potraktował jako sygnał do ucieczki. Jestem przekonany, że zmienił miejsce pobytu.

Pułkownik zgodził się z wywodami porucznika i postanowił rozesać listy do jednostek z rysopisem szefa. Szczególnie zaś polecił zainteresować się rejonami turystycznymi.

Logicznie rzecz biorąc szef grupy powinien się ukrywać w dużych skupiskach ludzkich, najprawdopodobniej na Mazurach lub Wybrzeżu Pomorskim. Zapewne nie będzie chciał ryzykować dłuższego przejazdu przez kraj, aby wynieść się gdzieś w okolice górskie czy podgórskie.

Postanowiono, że wszyscy oficerowie będą w pełnym pogotowiu i udadzą się wszędzie tam, gdzie tylko pojawią się osobnicy odpowiadający rysopisowi szefa.

Grafikom polecono sporządzić domniemany portret szefa grupy na podstawie rysopisów, podanych przez Słoniewską i Astorię, oraz rozesać te podobizny w teren.

### **Poszukiwania trwają**

Milicja w całym kraju miała pełne ręce roboty. Polecono bowiem jednostkom meldować o pojawieniu się każdego osobnika, którego rysopis — nawet w pewnym przybliżeniu — przypominałby o- ficjalny rysopis, uzyskany z portretu domniemanego.

Zgodnie z gorliwymi meldunkami, które napłynęły od jednostek, szef pojawił się przynajmniej tysiąc razy w różnych miejscowościach od Bałtyku po Tatry. Trzeba było przeanalizować wszystkie te sygnały i ustalić rejony, w których powtarzały się one najczęściej.

Najwięcej jednak informacji nadesłał Olsztyn, Ostróda, Giżycko, Kruklanki i Mikołajki, stacja wodna w Kamieniu, Ruciane i wiele innych miejscowości z terenu Mazur. Oficerów analizujących te sygnały, a po pierwsze kapitana Mirskiego i porucznika Jaworskiego uderzył fakt, że daty pojawienia się rzekomo szefa wcale się nie powtarzały i nie pokrywały. Występowała natomiast pewna logiczna kolejność tych dat i meldunków.

— Stefan! — odezwał się kapitan Mirski spoglądając na Jaworskiego, zapuch- niętego od zmęczenia i ślęczenia nad mapami i aktami. — Moim zdaniem facet wylądował w olsztyńskim. Przemawia za tym wiele. Potwierdzają to meldunki, które, mam wrażenie, są całkiem realne. Nie wygląda mi to na nadgorliwość naszych milicjantów. Trzeba będzie tam puścić najsilniejszą ekipę. Może pojedziesz?

— Twoja wola! Jestem gotów! — odpowiedział bez namysłu Stefan. — Czy tu, czy gdzie indziej, pojechać muszę.

— Dobrze. Obejmiesz komendę nad olsztyńską ekipą. To jest moim zdaniem najczulsze miejsce. Jesteś od samego początku emocjonalnie związany ze sprawą, więc najbardziej liczę na ciebie. Zgoda?

— Zgoda. Ale mam pewną propozycję, a właściwie warunek.

— Warunek? Co za warunek? O co ci chodzi? — Kapitan podniósł zdumione oczy na Jaworskiego, przeczuwając jakiś wyskok, odbiegający od przyjętych dotąd w praktyce milicyjnej norm.

— Chcę zabrać ze sobą Mirę — oświadczył spokojnie Stefan.

Kapitan Mirski spojrział na niego jak na wariata i nieoczekiwanie huknął pięścią w stół, aż Stefan przerwał w pół słowa.

— Co? — wrzasnął. — Już się obabiłeś, musisz z kobietami jeździć na wyprawy służbowe? To może i ja swoją Jolę zabiorę, razem z dziećmiakami? Teraz zapewne każdy oficer, kiedy mu poruczę jakieś odpowiedzialne zadanie, zjawia się u mnie

i oświadczy, że owszem, pojedzie, ale z żoną czy kochanką, kuzynami, dziećmi i znajomymi żony...

Stefan spokojnie wytrzymał wybuch przyjaciela.

— Daj mi dojść do słowa, Kazik. Z Mirą jeszcze się nie ożeniłem i nie mam zamiaru brać jej dla własnej tylko przyjemności.

— Więc po co? — niecierpliwiał się Mirski.

— Nie miałem ci kiedy o tym powiedzieć... Wczoraj wieczorem, kiedy pokazałem Mirze „zdjęcie” szefa, przypomniała sobie, że w czasie jednej z rozmów z Zygmuntem w kawiarni „Roxana” w pewnej chwili zobaczyła — właśnie tego człowieka...

Mirski zmrużył powątpiewająco oko.

— No dość, dość. W końcu jedź sobie z nią. Miła dziewczyna. Wiedz jednak o tym, że wprawdzie za moim zezwoleniem, ale bierzesz ją na własną odpowiedzialność.

### **Na Mazury**

Stefan i Mira ruszyli w stronę Giżycka. Z tego rejonu nadeszły dwa meldunki. Rozmowy przeprowadzone z funkcjonariuszami miejscowych jednostek pozwoliły ustalić, że mężczyzna podobny do podanego w rysopisie był tam istotnie. Doszli do wniosku, że po krótkim pobycie wyjechał w nieokreślonym kierunku.

— Pozostają więc Mikołajki — rzekł po namyśle porucznik. — Jedziemy!

— Masz słuszność — zgodziła się

Mira. — Znam Mikołajki, byłam tam kiedyś na kursie żeglarskim. To dziura, maleńka miejscina, ale w sezonie — palca nie da się wetknąć. Łatwo zniknąć w tłumie.

— Prujem! — włączył się sierżant Lipski. — Dodam gazu, niech się pani nie obawia, dowiozę w całości. Jeść mi się chce, że hej! Po tej porannej herbatce w Szczytnie mam dwie kapele w brzuchu. W Mikołajkach są dobre knajpy i jeśli dziś nie będzie roboty, to sobie kropnę jednego. Pod węgorza.

Minęły dwa dni. Mira zmęczona i zdenerwowana zwierzyła się porucznikowi, że nigdy nie przypuszczała, jak trudną

i wyczerpującą może być praca milicjanta, choć przecież nic innego nie robili, tylko szwendali się uliczkami, nadbrzeżem, zaglądali do łódek, wchodzili do przepelnionych w tym czasie lokali.

Jeśli spostrzegli gdzieś mężczyznę choć trochę podobnego do utrwalonego w pamięci szefa, niezwłocznie, w sposób nader dyskretny, oglądali go ze wszystkich stron.

Następne dwa dni także spędziły na niczym. Jednak milicjanci w komisariacie uparcie twierdzili, że mężczyzna odpowiadający rysopisowi kręcił się w Mikołajkach i okolicach. Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko kontynuować poszukiwania.

Następnego dnia wynajęli kajak. To było już pewne urozmaicenie w ich życiu. Teraz penetrowali nadbrzeże i plaże.



Pod wieczór postanowili przerwać poszukiwania, czas zresztą było na kolację. Skierowali się do brzegu, tam gdzie była przystań śródlądowych stateczków.

— Uwaga! — szepnęła Stefan do Miry.— Spójrz na brzeg. Te cztery osoby! Wyciągają łódź. Jedziemy tam!

— Widzę! — odpowiedziała równie cicho. — Ten facet w ciemnych okularach tak jakby...

Tymczasem towarzystwo rozdzieliło się. Młodzieniec w szortach z dziewczyną przeszli obok przystani i skierowali się w stronę domków, położonych tuż przy brzegu; pan w okularach wraz z towarzyszką ruszyli w kierunku mostu i restauracji.

Stefan i Mira poszli w pewnej odległości za nimi. Obserwowana para zginęła na zakręcie. Stefan przyspieszył kroku

i wkrótce znaleźli się na ulicy. Śledzeni zniknęli jak kamfora.

Mira pozostała na ulicy i miała wolno przejść w stronę rynku. Stefan zajrzał do restauracji, przeszukał obie sale i taras. Na próżno.

— Pewno weszli do jakiegoś domu albo skręcili sobie znanymi przejściami i udali się na nadbrzeże! — powiedziała Mira.

Stefan przyznał jej rację.

Zapadał już zmierzch. O dalszych poszukiwaniach nie mogło być mowy.

### **Pierścień rozluźnił się...**

Porucznik Jaworski i Mira po bezowocnych poszukiwaniach na Pojezierzu Mazurskim stawili się, z nosami na kwintę, w Komendzie Wojewódzkiej MO w Gdańsku, gdzie od kilku dni urzędował kapitan Mirski.

Stefan zameldował się służbiście. Był wyraźnie zmartwiony niepowodzeniem i ucieczką szefa.

Mirski spojrzał na przyjaciela.

— Nie martw się, Stefan, dobrze przynajmniej, że wystraszyliście go z kryjówki. Na Mazurach nie ma już co szukać. To też ważna informacja. W jaki sposób domyślił się jednak, że jest śledzony?

— Wspominałem ci, że Mira widziała go kiedyś w „Roxanie”. On mógł też zapamiętać jej twarz. W Rucianem natrafiliśmy na ślad zatopionego składaka. Ustalono, że był własnością szefa. Gospodyni poinformowała nas, że składak miał przy

czepny motorek. Po północy mógł już drań być na ruciańskim dworcu. O trzeciej rano miał pociąg do Olsztyna. Znacznie później odjeżdżał pociąg w kierunku Giżycka. Wybrał chyba ten pierwszy...

— Innego nie mógł wybrać — zgodził się Mirski. — Pojechał na wybrzeże. Teraz zapewne ukrywa się i szuka okazji, aby przekroczyć granicę. Może być w Gdańsku, Koszalinie lub Szczecinie. Najpewniej jednak w Gdańsku. Albo spróbuje ucieczki samolotem.

— Oczywiście. Stwierdził, że spaliły mu się kontakty w Warszawie — aresztowano Zadrę i Astorię, bo od tego ostatniego nie miał przecież obiecanych wiadomości. Domyślił się, że jest śledzony i może nawet rozpoznany w Mikołajkach. Stąd jego nocna ucieczka.

— Musimy przedsięwziąć dalsze kroki — powiedział kapitan.

— Za chwilę jadę do WOP-u. przekażę im wszelkie dane i rysopis. Zaalarmujemy przejścia graniczne, a zwłaszcza drogi morskie.

### **Falszywy trop**

Milicja na całym wybrzeżu została postawiona na nogi. Wojska Ochrony Pogranicza wzmogły czujność na wszystkich przejściach granicznych, lądowych, morskich i powietrznych. Intensywne poszukiwania trwały.

Nadchodziły wciąż dalsze, ale rzadsze już meldunki o pokazaniu się osobnika, odpowiadającego

rysopisowi szefa. Jednak te sygnały uznano za mało prawdopodobne.

Pewnego wieczoru Komenda MO w Koszalinie nadała wiadomość o pojawieniu się na tym terenie mężczyzny ściśle odpowiadającego rysopisowi. Nosił również ciemne okulary.

— Trzeba tam pojechać! — zdecydował Mirski. — Chyba ty pojedziesz. Dam ci sierżanta Lipskiego.

— Oczywiście pojedę — zgodził się Stefan. — Wydaje mi się, że jednak i tym razem trzeba będzie zabrać ze sobą Mirę.

— Po co? — sprzeciwił się kapitan. — Znowu wystraszy ci ptaszka.

— Będziemy ostrożniejsi — spokojnie odrzekł porucznik. — A właściwie tylko ona może z pewnością zidentyfikować Donieckiego.

Kapitan dał się w końcu przekonać i zgodził się na wyjazd Miry.

Z Koszalina udali się rano do Kołobrzegu, gdzie stwierdzono pojawienie się poszukiwanego osobnika. Stefan z Mirą pojechali do komisariatu.

— Jest pod naszą stałą obserwacją — informował komendant. — Już od dwóch dni chodzimy za nim.

— A gdzie jest teraz? — dopytywał się porucznik Jaworski.

— Dokładnie przed pół godziną nasz wywiadowca zameldował, że poszukiwany w towarzystwie dwóch kobiet udał się na przechadzkę. Poszli plażą w kierunku Ustronia Morskiego.

— Jedziemy natychmiast — rzucił porucznik. — Z dwiema kobietami mówicie?... Może to te same z Mikołajek?

Mira bez słowa narzuciła płaszcz na ramię. Była gotowa do drogi.

— Niech mi pan da, kolego, kogoś w cywilu, kto zna dobrze teren — zwrócił się Stefan do komendanta.

Nie upłynęło trzydzieści minut, kiedy znaleźli się na plaży. Za chwilę towarzystwo miało ich minąć. Mira i Stefan zajęli dogodne stanowiska.

Trójka turystów, wesoło gawędząc, przeszła obok ukrytych w zasadzce Miry i Stefana. Za nimi podążał niepozornie wyglądający mężczyzna.

Kiedy wywiadowca zbliżył się do Jaworskiego, porucznik wyszedł z ukrycia i rzucił w jego stronę, z trudem ukrywając irytację:

— Nie musi pan, kolego, już dłużej chodzić za nimi. To nie ten!

### **Seledynowy znak**

Kapitan Mirski sięgnął znowu po papierosa. Denerwował się. Sam kierował akcją ujęcia Witolda Nieraj-Donieckiego.

Jeszcze raz wziął do ręki teczkę dokumentów i dokładnie przeczytał niektóre z nich. Za chwilę wszedł do pokoju porucznik Jaworski.

— Co sądzisz o przygotowaniach do całej operacji? — zapytał.

— Uważam, że powinna się udać.

— A ja mam obawy, czy ktoś nas przypadkowo nie zauważył?

— Możesz być spokojny. Chłopcy wszystkiego dobrze pilnują. Połącz się jeszcze raz z poszczególnymi punktami i sprawdź stan gotowości!

— Zaraz to zrobię. A w ogóle to pozwól mi wziąć udział w akcji na miejscu w willi, gdzie powinien zatrzymać się Witold. — Uzyskane informacje wskazywały, że przygotowuje się on do ucieczki z tego rejonu. — Tym razem pojedę tam już bez Miry. Teraz jest piąta. Za godzinę

wchodzimy do willi. Zdążę tam jeszcze pojechać.

— Rozumiem, że chciałbyś go ująć osobiście. Należy ci się to. Do trzech razy sztuka. Dwa razy miałeś pecha, być może tym razem nareszcie założysz mu kajdanki. Jedź. Życzę powodzenia.

Dochodziła szósta rano, kiedy porucznik Jaworski w towarzystwie dwóch innych funkcjonariuszy zapukał do drzwi pięknie położonej na przedmieściu Gdyni willi.

Otworzyła im niemłoda już kobieta, wyraźnie zapłakana. Porucznik zapytał o Witolda Nieraj-Donieckiego. Zamiast odpowiedzi kobieta wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa. Jeden z funkcjonariuszy podał jej szklanekę z wodą. Mimo to nie była zdolna do rozmowy.

Porucznik Jaworski spokojnie powtórzył pytanie.

— Gdzie jest Witold Nieraj-Doniecki?

Zamiast odpowiedzi pokazała jedynie ręką w górę i znowu zaczęła płakać.

— Co, nie żyje? — zawołał przerażony porucznik.

Zaprzeczyła bez słowa i znów pokazała ręką w górę. Funkcjonariusze czekali na rozkaz porucznika. Jednak zamiast poleceń usłyszeli sygnał wywoławczy radiostacji z centrali. Porucznik Jaworski podniósł słuchawkę.

— „Storczyk”, „storczyk” — udaj się natychmiast na sto piętnaście... sto piętnaście... Obiekt do wzięcia, obiekt do wzięcia... Życzę powodzenia...

— Zrozumiałem, udaję się tam. Dziękuję

Jaworski zlecił jednemu z funkcjonariuszy, aby ten objął kierownictwo nad rewizją w willi, a sam wsiadł do samochodu.

— Dokąd, panie poruczniku? — zapytał kierowca opla.

— Do portu morskiego. Mają tam dla nas jakąś wiadomość. Włącz syrenę.-

Kierowca opla jechał po pustych jeszcze ulicach z ogromną szybkością, największą, na jaką pozwalał stan techniczny maszyny i bezpieczeństwo jazdy.

Po kilkunastu minutach byli już na miejscu w porcie morskim w Gdyni. Z daleka błyszczała w porannym słońcu olbrzymia sylwetka handlowego statku, przycumowanego do nadbrzeża.

Porucznik Jaworski wyskoczył z samochodu i szybko poszedł do pomieszczeń naczelnika portu.

— Czołem, co nowego?

— Mamy tu kogoś, k:o was zainteresuje, poruczniku. Zaraz go przyprowadzą wasi chłopcy.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich elegancki mężczyzna o ciemnych, krótkich włosach. Ubrany był w czarną dyplomatkę. Wytworny kapelusz, rękawiczki oraz laska dopełniały stroju. Towarzyszyło mu dwóch wywiadowców.

— Poruczniku — zameldował jeden z wywiadowców — to nasz obiekt. Po udanej ucieczce z willi wpadł w naszą sieć i doprowadziliśmy go aż tutaj. Mimo zmienionego wyglądu zewnętrznego jest na pewno tym, kogo szukamy już od dłuższego czasu.

— Ci panowie biorą mnie za kogoś innego. Panie poruczniku, to jakaś pomyłka, poważne nieporozumienie. Jestem przedstawicielem handlowym i za kilka minut odpływa mi statek, na którym mam zarezerwowane miejsce.

— Poproszę o pański paszport — przerwał mu porucznik Jaworski.

— Proszę, oto on — niespokojne spojrzenie błysnęło spoza rogowych okularów.

Porucznik Jaworski uważnie oglądał paszport. Drugi wywiadowca podał mu małą latarkę. Porucznik spojrzął na kartę z personaliami i odczytał dane Witolda Nieraj-Donieckiego. Wszystko się zgadzało.

— To nie pański paszport, panie Witoldzie Nieraj-Doniecki!

— Jak to nie mój? Przecież wszystko się zgadza!

— Tak- Z wyjątkiem jednej sprawy. Proszę, niech pan spojrzy, do kogo należy ten dokument...

Spod ultrafioletowych promieni wynurzyło się seledynowe w kolorze nazwisko prawowitego właściciela paszportu.

— Czy ma pan coś jeszcze do powiedzenia, panie szefie?

Nieraj-Doniecki milczał chwilę.

— Tego nie przewidziałem — odezwał się wreszcie zmienionym głosem. — Jestem do waszej dyspozycji, panowie. Ten seledynowy znak, seledynowy znak...

— Proszę do samochodu. Do kompletu brakowało nam tylko pana. Nareszcie mamy wszystkie cztery kółka... złote kółka...

W czasie jazdy porucznik Jaworski zameldował radiotelefonem kapitanowi Mirskiemu o pomyślnym zakończeniu akcji.

Zdjęto wszystkie posterunki operacyjne. Kończyła się jeszcze jedna nie przespana noc. Nad Gdańskiem wstawał nowy dzień.

**Koniec**